

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 42 (1197) 16 PAŹDZIERNIKA 1983 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

„Odpuszczajcie, a dostąpicie odpuszczenia” ● Życie chrześcijan ● Dzień Matki i Dzień Dziecka w Łękach, Dukielskich ● „Rzeczpospolita w dobie Jana III” – wystawa w Zamku Królewskim w Warszawie ● „Rodzina” – dzieciom ● Porady



Strona
tytułowa
zaproszenia
na otwarcie
wystawy

„Rzeczpospolita
w dobie Jana III”
w Zamku
Królewskim
w Warszawie.

o wystawie piszemy
na s. 8–9

DWUDZIESTA PIERWSZA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Efezjan (6, 10—17)

Bracia: Umacniajcie się w Panu i w działaniu mocy Jego. Przyobleczcie się w zbroję Bożą, abyście mogli się ostać przeciw zasadzkom diabelskim. Albowiem prowadzimy walkę nie z ciałem i z krwią, ale przeciw książętom i władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw złym duchom w przestworzach niebieskich. Przeto przyobleczcie się w zbroję Bożą, abyście mogli stawić opór w dzień zły i, wypełniwszy wszystko, ostać się. Bądźcie przeto w pogotowiu przepasawszy biodra wasze prawdą i przyodziewawszy pancerz sprawiedliwości, a nogi obuwszy w gotowość Ewangelii Pokoju. We wszystkim trzymajcie się tarczy wiary, którą moglibyście zagasić wszystkie strzały ogniste złego ducha. Przyodziejcie też przyłbicę zbawienia i weźmijcie miecz ducha (którym jest słowo Boże)

Ewangelia według św. Mateusza (18, 23—35)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który chciał się obliczyć ze sługami swymi. A gdy począł się obliczać, przywiedziono mu jednego, który był mu winien dziesięć tysięcy talentów. I gdy nie miał skąd oddać, kazał go pan jego zaprzedać i żonę jego, i dzieci, i wszystko, co miał, i oddać. A sługa ów upadłszy, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nade mną, a oddam ci wszystko. A Pan zlitowawszy się nad owym sługą, uwolnił go i dług mu darował. Lecz sługa ów wyszedłszy, spotkał jednego z towarzyszków swoich, który był mu winien sto denarów. I ujawszy go, dusił, mówiąc: Oddaj, coś winien. A towarzysz ów upadłszy, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nade mną, a oddam ci wszystko. Lecz on nie chciał, ale odszedł i wtrącił go do więzienia, dopóki by mu dług nie zwrócił. A widząc, co się stało, towarzysze jego zasmucili się bardzo i przyszli, i donieśli panu swemu o wszystkim, co się stało. Wtedy zawołał go pan jego i rzekł mu: Sługa niegodziwy, cały dług darowałem ci, boś mię prosił. Czyż więc nie przystało, abys i ty ulitował się nad towarzyszem swoim, jakom i ja ulitowałem się nad tobą? I rozgniewawszy się pan jego wydał go katom, dopóki mu nie odda całego długu. Tak i Ojciec mój niebieski uczyni wam, jeśli nie odpuscicie każdy bratu swemu z serc waszych.

„Odpuszczajcie, a dostacie odpuszczenia”

Jesień w liturgii kościelnej przynosi wielką różnorodność motywów i nastrojów. Teksty liturgiczne poprzedniej niedzieli usposabiają nas lirycznie. Dominowała w nich bowiem tęsknota do ojczyzny niebiańskiej, która wypełniała serce wyznawców Chrystusa. Natomiast na życie ziemskie patrzyliśmy jak na wygnanie.

Czytania mszalne dzisiejszej niedzieli nastawione są na czyn. Stąd też lekcja (Ef 6.10-17) zachęca nas do walki z nieprzyjaciółmi zbawienia oraz zaleca cierpliwość w życiu. Natomiast ewangelia (Mt 18, 23-25) uczy nas miłości przebaczącej. Z tęsknoty za niebem rodzi się równocześnie troska i bojaźń na myśl o opowiedzialności na sądzie. Bowiem w przypowieści o niemiłosiernym słudze ukazuje nam Kościół Chrystusa w jego powtórny przyjściu, jako króla miłosiernego i wielkodusznego w przebaczeniu, chociaż sprawiedliwego w sądzie. Tak więc w rozważaniu niniejszym spojrzymy na życie chrześcijańskie w świetle powrotu Pana.

Wydarzenie, o którym będzie mowa, miało miejsce w trzecim roku nauczycielskiej działalności Chrystusa. Zdając sobie sprawę z bliskości odejścia do Ojca, częściej niż do tej pory kierował on do uczniów swoje wskazania i napomnienia. Miały one na celu ukształtowanie ich osobowości. Dla lepszego zrozumienia genezy wystąpienia Zbawiciela, należy jednak dzisiejszą perykopę ewangeliczną poszerzyć o dwa poprzedzające ją wiersze. Wobec tego składać się ona będzie z dwóch części: teoretycznej, poruszającej problem przebaczenia (Mt 18, 21-22) oraz praktycznej, w której Syn Boży — przez przypowieść o niemiłosiernym słudze — przedstawia obrazowo potrzebę miłości i liści (Mt 18, 23-35).

Podczas pobytu Zbawiciela w Perek, przed jego ostatnią podróżą do Jerozolimy, apostoł Piotr zwracając się do Jezusa, zapytał: „Panie, ile razy mam odpuścić bratu memu, jeżeli przeciwko mnie zgrzeszy? Czy aż do siedmiu razy?” (Mt 18,21). Dotknął przez to tematu znanego i często dyskutowanego wśród Żydów. Bo według nauki rabinów, Bóg mógł człowiekowi przebaczyć ten sam grzech dwa, a najwyżej trzy razy. Zaś w stosunkach międzyludzkich czterokrotnie przebaczenie uchodziło za wielką wspaniałość. Apostoł podważając prawie tę liczbę sądził widocznie, że aż nadto czyni zadość wymaganiom wielkodusznego miłosierdzia, jakie głosił Syn Boży. Jezus jednak pouczył go, mówiąc: „Nie powiadam ci: Do siedmiu razy, lecz do siedemdziesięciu siedmiu razy” (Mt 18,22). Zaś liczba ta jest w Piśmie

św. symbolem nieograniczonej ilości. Należy zatem zawsze przebaczać. W naukach swoich zalecał bowiem Chrystus usilnie miłość bliźniego i płynący z niej obowiązek darowania uraz i krzywd. Skoro bowiem żyjemy wyłącznie dzięki miłosierdziu Bożemu, musimy to miłosierdzie codziennie naśladować.

Prawdę tę starał się boski Nauczyciel uwydatnić za pośrednictwem przypowieści o słudze niemiłosiernym. Zwracając się bowiem do słuchających Go, powiedział: „*Królestwo Niebios podobne jest do pewnego króla, który zrobił obrachunek ze sługami swymi. A gdy zaczął robić obrachunek, przyprowadzono mu jednak dłużnika, który był mu winien dziesięć tysięcy talentów*” (Mt 18, 23-24). Przypowieść ta technicznie realiami ówczesnego życia na Wschodzie, chociaż nie brak jej pewnej przesady literackiej, mającej służyć wypukleniu niektórych momentów dydaktycznych. Stąd też niekoniecznie trzeba tu mieć na myśli jakiegoś niższego sługę, czyli niewolnika. W owych bowiem czasach, w stosunku do władcy nawet wyżsi urzędnicy nazywani byli sługami. Również wysokość zadłużenia wskazuje, że nie chodzi tutaj o zwykłego sługę. Talent atyki liczył bowiem za czasów Chrystusa 6 000 drachm. Stąd 10 000 talentów stanowiło 60 000 000 drachm. Był to więc ogromny majątek. W tak wielkie zadłużenie mógł popaść jedynie jakiś wyższy urzędnik dzierżawiący podatki w kilku prowincjach. Należy również nadmienić, że wyżsi urzędnicy starożytnego Wschodu żyli bardzo wystawnie i wydawali na utrzymanie swych domów ogromne sumy.

Najprostszym wyjściem dla owego urzędnika królewskiego byłoby zwrócenie władcy całej zagarniętej sumy: „Ponieważ (jednak) nie miał z czego oddać, kazał go pan sprzedać wraz z żoną i dziećmi, i wszystko co miał, aby dług został spłacony” (Mt 18, 25). Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyż stare prawo rzymskie pozwalało na sprzedaż dłużnika w niewolę. O takim postępowaniu świadczą historycy rzymscy Liwiusz i Tacyt. Podobny zwyczaj panował również u Żydów, o czym wspominają księgi święte. Czytamy tam bowiem: „*Złodziej powinien dać odszkodowanie: jeśli nic nie ma, zostanie za swoją kradzież sprzedany*” (Wj 22, 3b). Również pewna niewiasta skazyła się prorokowi Elizeuszowi, mówiąc: „*przyszedł wierzytel, aby zabrać sobie dwoje moich dzieci jako niewolników*” (2 Krl, 4,1).

Olbrzymie zadłużenie wobec monarchy postawiło tego człowieka w sytuacji bez wyjścia. Jednak ów „*sługa padł przed nim, złożył mu pokłon i rzekł: Panie! Okaż mi cierpliwość, a oddam ci wszystko*” (Mt 18, 26). Prosił więc dłużnika o zwłokę w spłaceniu należności chociaż było wiadomo, że przekracza to możliwości. „*Wtedy pan ulitował się nad owym sługą, uwolnił go i dług mu darował*” (Mt 18, 27). Uczynił zatem więcej, niż go dłużnik prosił. Okazał mu bowiem iście królewską wspaniałość i darował mu cały dług.

W drugiej części przypowieści przedstawił Jezus podobną sytuację, ale między dwoma równymi sobie ludźmi; między tym, któremu pan darował ogromną sumę, a jego współbratem. Bo „*gdy ów sługa wyszedł, spotkał jednego ze swoich współslug, który był mu winien sto denarów; i pochyciwszy, dusił go mówiąc: „Oddaj, coś winien”*” (Mt 18, 28). Człowiek ten postanowił ratować się w podobny sposób, jak przed chwilą bronił się jego wierzyciel. Bowiem „*Padłszy na kolana, prosił go, mówiąc: Okaż mi cierpliwość, a oddam ci wszystko. On jednak nie chciał, lecz odszedł i wtrącił go do więzienia, dopóki nie odda długu.*” (Mt 18, 29-30). Chociaż tym razem była to suma niewielka w porównaniu z poprzednim długiem, wierzyciel postąpił z dłużnikiem bezwzględnie. Wprawdzie według prawa rzymskiego dłużnik, który nie płacił, zdany był na łaskę swego wierzyciela i mógł być wtrącony do więzienia. Ale człowiek, który dzięki liści swego pana uszedł podobnego losu powinien był — przynajmniej z racji prostej uczciwości — okazać liść względem swego dłużnika.

Tymczasem inni współbracia niedawnego dłużnika królewskiego. „*widząc to, co zaszło, zasmucili się bardzo i poszedłszy, opowiedzieli panu swemu wszystko, co się stało*” (Mt 18, 31). I oto nastąpiło to, czego niemiłosierny sługa najmniej się spodziewał. Bo oto „*przywołał pan jego i rzekł mu: Sługa zły! Wszystek dług darowałem ci, boś mnie prosił. Czy i ty nie powinienes być zlitować się nad współslugą swoim, jak i ja zlitowałem się nad tobą? I rozgniewał się pan jego, i wydał go katom, żeby oddał cały dług*” (Mt 18, 32-34). Stosownie bowiem do praw obowiązujących w starożytności, dłużnicy mogli również być poddawani torturom, by się przyznali, czy nie mają ukrytych pieniędzy, albo czy ich krewni nie mogli za nich złożyć okupu.

Kończąc swoją przypowieść, Chrystus z całym naciskiem stwierdza: „*Tak i Ojciec mój niebieski uczyni wam, jeśli każdy nie odpuści z serca bratu swemu*” (Mt 18, 35). Innymi słowy: Bóg gotów jest odpuścić nam największe nawet grzechy, ale nie uczyni tego, jeśli my nie przebaczymy z serca bliźnim naszym. W tych słowach zawarta jest nauka przypowieści.

Jako pielgrzymi zdążamy wszyscy do obiecanej nam przez Boga ojczyzny w niebie. Jednak wejście do niej poprzedzi sąd. Prawdę tę przypomina Apostoł, gdy pisze: „*Postanowiono jest ludziom raz umrzeć, a potem sąd*” (Hbr 9, 27). Zaś z nauki Zbawiciela jednoznacznie wynika, że głównym przedmiotem sądu Bożego będzie wykonanie przykazania miłości. Stąd też wówczas odpuszczone zostaną winy tylko tym, którzy wcześniej przebaczyli je winowajcom swoim. W sposób niezwykle stanowczy potwierdza to Syn Boży, mówiąc: „*Jeśli odpuscicie ludziom ich przewinienia, odpuści i wam Ojciec wasz niebieski. A jeśli nie odpuscicie ludziom i Ojciec wasz nie odpuści wam przewinień waszych*” (Mt 6, 14-15). O to również z jego polecenia modlimy się, powtarzając: „*Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*” (Mt 6, 12).

Zatem chętnie i zawsze „*odpuszczajmy, a dostapiemy odpuszczenia*” (Lk 6, 37). Stosownie do napomnień św. Pawła, „*niech słońce nie zachodzi nad gniewem naszym*” (Ef 4, 26).

Ks. JAN KUCZEK



Życie chrześcijan

„Wy jesteście solą dla ziemi. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolic? Na nic się już nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto, położone na górze. Nie zapala się też światła, by je schować pod korzec, lecz stawia się je na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli dobre wasze uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie” (Mt 5, 13-16).

Nauczanie Jezusa z Nazaretu nie miało charakteru teoretycznego. Jezus wskazywał ludziom drogę postępowania, powołując się na swój przykład. Mówił, że jeżeli kto chce iść za Nim, ma wyrzec się samego siebie, wziąć krzyż swój i za Nim postępować. Jezus jest przekonany, że czymś najważniejszym dla człowieka jest związek z Bogiem i stara się to przekazać wpoić swoim słuchaczom. Zabiega o chwałę swego Ojca, wypełnianie jego woli jest Jego przeznaczeniem i każe swym uczniom modlić się o chwałę Bożą i szerzyć ją. Przyszedł przybliżyć i zrealizować Królestwo Boże i nakazuje je realizować także swym uczniom. „Starajcie się naprzód o Królestwo Boga i o Jego sprawiedliwość...” (Mt 6, 33). Jego uczniów spotykają prześladowania lub uznanie, tak, jak prześladowano lub słuchano Jezusa. „Uczeń nie przewyższa nauczyciela, lecz każdy dobrze wyuczony będzie jak jego nauczyciel” (Lk 6, 40).

Gdy czyta się Ewangelię, widać, że wspólnota między Jezusem i Jego wyznawcami nie ma polegać tylko na podobieństwie tych wy-

darzeń, które w życiu człowieka spotykają, ale na podobnym do Jezusowego spojrzeniu na własne życie, na innych ludzi, na świat i na Boga. Wyznawca Jezusa ma dzielić z Nim Jego ocenę wartości różnych spraw w życiu. Ma czuć się powołanym przez Boga, tak jak Jezus, do budowania wraz z Nim Królestwa Bożego, tzn. do wprowadzania w swe życie uznanych przez Jezusa wartości duchowych, przede wszystkim miłości Boga i bliźniego.

Św. Jan mówi na początku swej Ewangelii, że Słowo Boże, czyli Syn Boży przyszedł na świat i tym wszystkim, którzy Go przyjęli „udzielił mocy, aby się stali dziećmi Bożymi” (J 1,12).

Nie łatwo jest zrozumieć te słowa. Ale w każdym razie musimy stwierdzić, że Jezus Chrystus najwyraźniej chce, abyśmy przez zjednoczenie z Nim stali się podobnymi do Niego synami, dziećmi Bożymi. Żebyśmy jak On i dzięki Niemu poznali Ojca i kochali Go. Jeżeli wzywa do naśladowania siebie, jeżeli chce nauczyć nas własnej postawy życiowej, to ostatecznie dlatego, żeby dzięki temu, przez to samo uczynić nas dziećmi Bożymi

Upodobnić się do Chrystusa, zjednoczyć się z Nim, stać się dzięki temu dzieckiem Bożym — oto do czego, sprowadza się zamiar Boży w odniesieniu do człowieka. Bóg chce, by człowiek stał się Jego dzieckiem, to znaczy. umiłował człowieka tą samą miłością, którą w tajemnicy swego Boskiego życia Bóg-Ojciec miłuje Boga-Syna. I żąda, by człowiek przyjął Jego miłość. Bóg chce, by człowiek kierował się Jego przykazaniami, przede wszystkim objawionym przez Jezusa przykazaniem miłości.

U początku życia chrześcijańskiego leży świadomość, że jest się przyjętym, umiłowanym przez Boga, że jest się przyjacielem i dzieckiem Bożym. Ale to również zobowiązuje. Chrześcijanin powinien sprawy Boga czynić swoimi sprawami i dlatego modlimy się: Bądź wola Twoja. Stąd też Chrystus może wszystko zawrzeć w jednym przykazaniu: Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego” (Mt 22, 37-39). Wymienia się tu obok siebie, jednakowo co do ważności: miłość do Boga, do bliźniego i do siebie samego.

Nikt nie może się znaleźć poza obrębem tej miłości. Chrystus rozszerza to przykazanie nawet na wrogów. „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladowają; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawił, że słońce Jego wschodzi nad złymi i dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? (...) Czyż i poganie tego nie czynią?” (Mt 5, 44-47). Znajdujemy się tu w sytuacji, w której chrześcijańskie wymagania przekracza to, co nasze naturalne odczucie dopuszcza jako słuszne i sprawiedliwe. Kazanie na Górze podnosi te wymagania aż do ostatecznych granic, ku temu, co wręcz niemożliwe: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5, 48).

Radykalne wymagania Chrystusa trzeba pojmować opierając się na tym: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie...” (Mt 16, 24) i „Starajcie się naprzód o królestwo (Boga) i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane” (Mt 6, 33).

Jak więc należy żyć po chrześcijańsku? Nie polega to na związaniu się z pewnym kodeksem moralnym, lecz z pewną osobą — osobą Jezusa Chrystusa. Punktem orientacyjnym dla nas jest Jego życie i Jego słowa. Św. Mateusz podaje w swej Ewangelii (4,19), jak Jezus zebrał swych uczniów i rzekł do nich: „Pójdźcie za Mną?” Oni natychmiast zostawili sieci i poszli za Nim.

Jezus Chrystus jest dla nas pewnym drogowskazem, miernikiem, modelem. Jednak model to coś otwartego, coś, co chce być urzeczywistnione odpowiednio do swych właściwości i zdolności człowieka, ale również odpowiednio do danej epoki. Dlatego też

nikogo nie zwalnia się od własnych przemyśleń i własnej decyzji.

Pismo święte mówi o tym wszystkim krótko i zwięźle: powinniśmy się stać „drugim Chrystusem” (por. 2 Kor 5,17). Kochać i służyć tak, jak On kochał i służył. I tak jak On tworzył jedność z wolą Bożą, tak i my powinniśmy szukać poznania woli Boga. Dlatego chrześcijanin udaje się codziennie po naukę do Chrystusa i naradza się z Nim w modlitwie: „Jak Ty postąpiłbyś w tej sytuacji, jak sądzisz, co winienem uczynić?”

Chrześcijanie modlą się, aby wytrwać w wierności dla Chrystusa i nie wyłączyć się przez grzech z Bożych planów zbawienia. „Ja przeto biegnę nie tak, jakby na oślep; walczę nie tak, jakby zadając ciosy w próżnię, lecz poskrabiam moje ciało i biorę je w niewolę, abym innym głosząc naukę, sam przypadkiem nie został uznany za niezdatnego” (1 Kor 9, 26-27). Chrześcijanie winni modlić się i czuwać. Kto się modli, ten czuwa dla Boga, a kto jest czujny w znaczeniu religijnym, ten się modli. „Przy każdej sposobności módlcie się w Duchu. Nad tym właśnie czuwajcie z całą usilnością i prosicie za wszystkich świętych” (Ef 6,18).

M.A.

„Szukamy Trójcy i to nie jakiegokolwiek Trójcy, ale tej, która jest prawdziwym, najwyższym i jedynym Bogiem.

Miej więc cierpliwość, ty, który to słyszysz, kimkolwiek jesteś. Bo dopiero szukamy i nikt nie gani słusznie szukającego, jeśli towarzyszy mu niewzruszona wiara w poszukiwaniu tych rzeczy gdzie tak trudno jest poznać i tak trudno to wyrazić... Powiedziane jest: „Szukajcie Boga a dusza wasza ożyje” (Ps 68, 33). I żeby ktoś nie sądził lekkomyślnie, że już cel osiągnął, Psalmista powiada: „Szukajcie zawsze jego oblicza” (Ps 104, 4). A Apostoł mówi: „Jeśli komuś się wydaje, że coś „wie”, to nie doszedł jeszcze do zrozumienia, jak wiedzieć wypada. Lecz kto Boga miłuje, ten mu jest znany” (1 Kor 8, 2-3). Ale najwyraźniej to mówi w następującym miejscu: „Bracia, nie sądzę, abym to już uchwycił. Ale o jednym jestem przekonany, że zapominając o wszystkim, co jest za mną, dążam ku temu, co jest przede mną, biegnę do celu, do nagrody w niebie przygotowanej według powołania Bożego w Chrystusie Jezusie. Wszyscy przeto, którzy osiągnęliśmy dojrzałość, tak to rozumiemy” (Fp 3, 13-15).

A więc za doskonałość w tym życiu Apostoł uważa nie co innego jak zapomnienie o wszystkim, co jest „za nami” a dążenie całym wysiłkiem ku temu, co przed nami. Tak to nastawienie poszukiwania jest najbezpieczniejsze, dopóki nie ujmijemy tego, ku czemu zdążamy i co nas wywyższa ponad nas samych. Lecz słuszne jest jedynie to dążenie, które wynika z wiary. Gdyż pewność zaś poznania będzie doskonała dopiero później, po tym życiu, kiedy będziemy widzieć twarz za twarzą (1 Kor 13, 12). Bądźmy więc przeświadczeni że uczucie skłaniające nas do szukania prawdy jest bezpieczniejsze od twierdzenia, że znamy to, czego nie znamy. Szukajmy więc jako mający znaleźć, a znajdujmy jako ci, którzy jeszcze powinni szukać...”

Św. Augustyn (354—430), O Trojcy Świętej

Uwaga — Czytelnicy!

Już niebawem w naszym tygodniku przeczytacie powieść Marii Rodziewiczówny pt. „Wrzos”, słynny przedwojenny melodramat.

Zaprenumerujcie „Rodzinę” na rok 1984, aby zapewnić sobie skompletowanie całości tej interesującej (zwłaszcza Czytelniczki) powieści.

„Wrzos” prezentować będziemy, jak zwykle, w odcinkach!

Dzień Matki i Dzień Dziecka w Łękach Dukielskich

„Matko! Ty nie masz świąt,
ni urlopu, ferii, ni spoczynku...
Twoje dni — to dom cały na wątych
ramionach. Jak latarnik trwasz ciągle
na swym posterunku — czujna, serdeczna,
bliska i niezastąpiona”.



Tak jak nie można rozdzielić od siebie dwóch największych przykazań Chrystusa: miłości Boga i miłości bliźniego — bo św. Jan powiedział wprost: „Jeśliby ktoś mówił: Miłuję Boga, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi”. Tak jak trudno jest oddzielić dobro od piękna — bo już starożytni Grecy zauważyli, że dobro i piękno w jakiś sposób się ze sobą łączą i wzajemnie uzupełniają, jak nie można rozdzielić niewinności od małego dziecka i serca matki od miłości do dziecka, tak też trudno byłoby odzielić nieporadne dziecko od matki. Bo miłość macierzyńska — jak ktoś pięknie powiedział: „stanowią dla dziecka słońce i ziemię, bez których ono nie wyrośnie”. Dlatego parafianie z Łęk postanowili połączyć Dzień Matki z Dniem Dziecka we wspólnej imprezie, która odbyła się w niedzielę, 29 maja br. w nowej sali parafialnej.

Parafia ta gościła w tym dniu ordynariusza diecezji krakowskiej — ks. infulata Antoniego Pietrzyka z Krakowa, ks. Jana Jelenia z Bażanówki, ks. Jerzego Uchmana z Jaćmierza i ks. Ryszarda Rawickiego z Sanoka.

Proboszcz parafii w Łękach, ks. Eugeniusz Elerowski, powitał bardzo serdecznie przybyłe na tę imprezę matki i dzieci, którym tę imprezę poświęcono:

„Wszystkim matkom na świecie, matkom i ich dzieciom, wznoszę toast radości i wspólne składam życzenia sercem pełnym miłości” — brzmiały pierwsze słowa powitania.

Imprezę rozpoczęto tradycyjnym już w Łękach odśpiewaniem Hymnu Młodzieży Polskokatolickiej, który przed kilku laty został napisany przez ks. E. Elerowskiego. Hymn ten śpiewali, na znaną melodię „Roty”, wszyscy obecni donośnym głosem a jego słowa i dźwięki, wzmocnione odpowiednią aparaturą nagłaśniającą, rozchodziły się po wiosce.

Następnie zebrani usłyszeli z taśmy pieśń Mieczysława Fogga „O Matce”, a prowadzący imprezę, Ks. Proboszcz powiedział, „słuchając tej pieśni — zadumajmy się na chwilę o naszych matkach, bo nie każdy ma to szczęście mieć ją dziś przy sobie”.

Z kolei ks. E. Elerowski, przy własnym akompaniamencie, wykonał piosenkę pt. „Moja Matko — ja wiem, wiele nocy nie spałaś” — dedykując ją swojej matce, p. Irenie Elerowskiej z Łodzi.

Następnym punktem programu było dwuaktowe przedstawienie sceniczne, w opracowaniu i reżyserii Ks. Proboszcza z Łęk, pt. „Sen”. W przedstawieniu tym główną postacią była matka wyczekująca na powrót swych dzieci. Rolę matki wspaniale



odegrała p. Anna Czaja. W przedstawieniu brały też udział dzieci w wieku przedszkolnym, doskonale radzące sobie ze sceną i liczną widownią, pomimo iż był to ich sceniczny debiut (sądząc po brawach — bardzo udany).

W czasie przerwy puszczono w ruch loterię książkową (książki głównie o tematyce młodzieżowej i dziecięcej). Nie zabrakło też odpustowego dziada, który zabawiał zebranych opowieściami ze swych licznych wędrówek po odpustach (w roli dziada wystąpił Tadeusz Soliński).

W drugiej części bogatego programu artystycznego największą do powiedzenia miały dzieci. Były więc wierszyki — głównie adresowane do matek, okolicznościowe piosenki i tańce dzieci przy akompaniamencie akordeonu.

Do zebranych przemówił ks. infulat Antoni Pietrzyk, który powiedział:

„Księżo Proboszczu — gospodarzu miejscowy, Księżo Dziekanie, pozostali Księża proboszczowie oraz wszyscy tutaj zebrani: szanowne panie, panowie, dzieci kochane! Wiedziałem, że jadąc w te okolice krośnieńskie przeżyję dużo przyjemnych chwil — przeżyłem je dziś rano w Jaćmierzu i potem w Bażanówce, podczas uroczystości Pierwszej Komunii św. Ale proszę mi wierzyć, że naprawdę nie myślałem, iż spędzę tutaj dwie czy trzy godziny, które tak minęły, jak kilkanaście minut. Jestem pełen podziwu dla całej tej imprezy dzisiejszego popołudnia. Jaka ona piękna, jaka wymowna, jaka głęboka, jak wspaniale zorganizowana, wszystko tak zaprogramowane! A poza tym — jakich świetnych artystów tutaj macie! Mam tu przede wszystkim na myśli panią, która odegrała rolę matki. Tu wprost widać było tę jej wielką miłość do dzieci. Nie mówiąc już o grze dzieci, które również wspaniale wystąpiły w przedstawieniu, a potem recytowały pięknie dobrane do dzisiejszego święta wiersze i piosenki o głębokiej treści — musiałbym naprawdę chwalić jeszcze długo, żeby to wszystko wyrazić, co czuję.

Moi drodzy, bardzo gorąco dziękuję Księdzu proboszczowi za to, że osobiście mnie zaprosił, że mogłem przeżyć te chwile, także myśląc o swojej matce, którą mam (nie mam już ojca), mam matkę i cieszę się, ile razy z tą staruszką mogę się spotkać, jadąc do domu rodzinnego, czy goszcząc moją matkę u siebie. I do tych życzeń, jakie wasze dzieci wam — drogie, szanowne panie, matki kochane — składały, pozwólcie, że od siebie, także i od Kościoła, najlepsze złożę wam życzenia; aby ta miłość, jaką dzieci wasze darzą was i wy je nawzajem, urzeczywistniała się w codziennym, szarym życiu.

I jeszcze chcę podziękować wam wszystkim tutaj obecnym w szczególności ks. Eugeniuszowi Elerowskiemu, który wiem, że jest motorem i przyczyną tego wszystkiego, co tu oglądaliśmy; chcę podziękować za tę wspaniałą salę... Bo widzicie, wszystko tutaj w tych Łękach macie: dobre powietrze, taką miłą atmosferę parafialną, kościół piękny, ale wydaje mi się, że brakowało tej sali. A teraz tutaj wy możecie się gromadzić, my wspólnie się radować i przeżywać tak miłe i podniosłe chwile. I wreszcie życzę wam wszystkim — wszystkiego najlepszego i miłej jeszcze dzisiaj zabawy. Szczęść wam Boże!”

Ks. RYSZARD RAWICKI

Człowiek „krótkowzroczny”

albo „podwójny wzrok” chrześcijanina

Kiedy człowiek współczesny zastanawia się, ogarnia go niepokój o świat, nawet lęk. Chociaż go coraz bardziej poznaje i energicznie opanowuje, nie potrafi nadać mu sensu. Tajemnicę świata przenika chrześcijanin przez wiarę!

A jednak zbyt wielu wierzących sprowadza wiarę do wymiarów wiary przyrodzonej: dla „dobrze myślącego” jest ona zbiorem dobrych zasad; dla cnotliwego — kodeksem życia moralnego; dla pobożnego — wypełnianiem religijnych obrzędów; a dla ilu wiara jest światłem, które oświeca całe życie i kieruje nim aż do najmniejszych szczegółów?

Tam, gdzie widziałeś tylko kroplę wody, uczony widzi pod mikroskopem świat ruchliwych żyłatek.

Tam, gdzie widziałeś jakąś „rzecz”, poeta, artysta widzi znak jakiejś rzeczywistości wielkiej i pięknej.

Tam, gdzie człowiek widzi żywych ludzi i wydarzenia jako owoce przypadku, chrześcijanin widzi wzrastających synów Boga i budujące się Królestwo Ojca.

Od chwili Wcielenia ziemia jest przeniknięta niebem i każda rzecz, każde wydarzenie, każda osoba posiada podwójne oblicze: ziemskie i niebieskie. Tylko chrześcijanin może kontemplować wszechświat i ludzkość w ich całej prawdzie, bo tylko on posiada wiarę, ten „podwójny wzrok”, który mu pozwala przenikać świat w jego TOTALNOŚCI poprzez zewnętrzne pozory. Dlatego twoja wiara nie jest ograniczeniem, lecz rozwojem, dzięki niej bowiem zamieniasz swój krótki wzrok na wzrok samego Boga.

*Zmysły dają ci wzrok ciała,
umysł daje ci wzrok rozumu,
wiara daje ci wzrok Chrystusa.*

Dzięki wzrokowi Chrystusa zaszczipionemu na twoim możesz poznawać Boga, wszechświat i samego siebie, tak jak On je zna i jak zna samego siebie.

Sam nie możesz zdobyć nieskończonego bogactwa wiary. Ona jest darem Boga, cudownym podarunkiem Jezusa Chrystusa, przy twoim chrzcie, za pośrednictwem Kościoła: „Czego żądasz od Koś-



dokończenie na str. 6

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (781)

w opracowaniu bpa M. RODEGO

P

soborze watykańskim I (1870) w dogmat o prymacie i nieomyślności papieża nauczającego ex cathedra). Szymon-Piotr został uznany świętym i męczennikiem.

Rok narodzin św. Piotra nie jest znany. Urodził się w rodzinie zamieszkałej w Betsaidzie w Galilei. Z zawodu był rybakiem. Jezus powołał go na swojego apostoła i dał mu pierwszeństwo wśród innych apostołów (por. Mt. X, 2; Mk. III, 13 — 16; Łk. VI, 14; J. I, 40 — 42; oraz Mt. XVI, 18 — 19; Łk. XXII, 32; J. XXI, 15 — 17 i in.). Działał, głosząc Ewangelię i rozszerzając Dzieło swego Mistrza, Jezusa Chrystusa, przede wszystkim w Palestynie: w Jerozolimie i Antiochii (w Jerozolimie był więziony i cudownie przez anioła z więzienia został uwolniony) por. Dz. Ap. XII, 1 — 19), a wreszcie — czego już dzisiaj nie można kwestionować — przebywał i działał jako apostoł Jezusa Chrystusa w Rzymie, gdzie też poniósł śmierć męczeńską, za panowania ces. Nerona, prawdopodobnie w 64 roku.

Pobył i śmierć św. Piotra w Rzymie poddał w wątpliwość chyba jako pierwszy dopiero w XIII/XIV w. → Marysliusz z Padwy w swojej publikacji pt. *Defensor pacis* (1324), czyli *Obrońca pokoju*, nie podał jednak konkretnych i przekonujących argumentów, a następnie w XIX w. Wątpliwość tę podniosła również część teologów protestanckich. Wszelako trzeba teraz dodać, że wielu uczonych protestanckich, a wśród nich m.in. przede wszystkim — Adolf Harnack, tej wątpliwości nie podzielało i nie podziela. Już od końca XIX w., a zwłaszcza w XX w. i współcześnie pod jego koniec przede wszystkim na podstawie odnajdywanych w Rzymie dowodów czczenia tam od najdawniejszych czasów św. Piotra, wybudowania przez ces. Konstantyna wkrótce po ogłoszeniu → edyktu mediolańskiego (313) pierwszej chrześcijańskiej bazyliki pod wezwaniem św. Piotra, i innych kryteriów i elementów, jako też w wyniku analiz odnośnych tekstów Pisma św. Nowego Testamentu

i tła ich powstania, przyjmuje się, iż św. Piotr był w Rzymie, tam działał i za głoszenie Jezusa Chrystusa poniósł w Rzymie śmierć męczennika. Jest też św. Piotr autorem dwóch Listów, które stanowią część składową Pisma św. Nowego Testamentu (→ Biblia; → papież; → papiesstwo; → prymat).

Piotr Codde — → Codde Piotr.

Piotr Damiani — — Damianus Petrus.

Piotr Lombardus — → Lombar(dus) Piotr.

Piotr z Goniądza — (ur. 1525, zm. 1573); Giezek, łac. Gonesius) — teolog, działacz ariński, antytrynitarny i anabaptystyczny (studiował w Akademii Krakowskiej a następnie w Padwie), głoszący konieczność oddzielenia społeczności „gminy wiernych” od państwa i życia publicznego i domagający się w zakresie spraw społecznych zrównania stanowego a w zakresie spraw gospodarczych wspólnoty majątkowej. Był zdecydowanym przeciwnikiem wojny. Głosił też konieczność zamiany chrztu dzieci na tzw. „ponurzenie” ludzi dorosłych. Będąc → antytrynitarzem (→ antytrynitarze) odrzucał dogmat o Trójcy św., a Chrystusa, chociaż uznawał Jego przedwieczne istnienie, jednak podporządkowywał Go Bogu Ojcu (→ subordynacjonizm), uznawał więc istnienie dwóch bogów: Boga Ojca i Jego Syna, Chrystusa (stąd jego, tj. Piotra z Goniądza i podobnie twierdzących nazywało i nazywa się dyteistami), nie podzielał nadto niektórych poglądów unitarian (→ unitaryzm), z którymi nawet prowadził dość ostrą walkę ideologiczną. Poglądami swoimi częściowo wyprzedził — Fausta Socyna, ale w polskiej reformacyjnej myśli religijnej XVI w. wykazał dość dużą samodzielność i zarówno w jego

ciola Bożego? — Wiary". Ale jeżeli Jezus Chrystus oddał ci się, żeby ogarnąć całą twoją istotę i nieskończenie wywyższyć twój umysł, w konsekwencji musisz zachować Jego przyjaźń i coraz głębiej przywiązywać się do Niego. Wierzyć to zawsze spotykać Jezusa Chrystusa, żeby przyjmować Jego sposób patrzenia. „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światłość życia” (J 8,12).

Wśród ludzi, którzy się uważają za wierzących, są tacy, którzy myślą, że wierzą:

„Mam swoją wiarę”,

Jestem „dobrze myślący” wpajam moim dzieciom „dobre zasady”,

„Wiara”, przydaje się w życiu”, zwłaszcza w czasie doświadczeń”,

„Mam „swoje” sumienie”,

„Jestem wierzący: mówię pacierz, chodzę na mszę, odbywam spowiedź wielkanocną i poszczę w piątki”,

Inni myślą, że nie wierzą, albo że wierzą słabo:

„Nie wierzę tak, jak przedtem”,

„To mi już nie mów”,

„Nic nie czuję, moja wiara zmniejsza się”,

„Mam wątpliwości na temat wiary”,

„Straciłem wiarę”.

Jedni i drudzy wynaturzają wiarę, usychają w zwątpieniu i przeciętności albo żyją w złudzeniu i błędzie. Nie wiedzą, co to jest wiara.

Wiara nie jest

wrażeniem albo uczuciem,

pewną formą optymizmu życiowego,

zaspokojeniem potrzeby bezpieczeństwa.

Nie jest ona także

opinią,

regulą życia moralnego,

przekonaniem opartym na rozumowaniu,

oczywistością naukową,

przyswyczajaniem socjologicznym (wynikiem wychowania).

Wiara jest najpierw łaską (otrzymaną w załączku przy Chrście), to znaczy darem Boga. Łaska ta pomaga nam spotykać osobę żywą, Jezusa Chrystusa, pomaga nam nabywać pewność, że to, co On powiedział, jest prawdą, że Jego świadectwo — słowo i życie — jest prawdziwe. Umocniona tą pewnością wiara polega wówczas na przejęciu Jego spojrzenia na nas samych, na innych, na rzeczy, na ludzkość, historię, wszechświat, nawet na samego Boga, i w następstwie tego spojrzenia na zaangażowaniu się.

Zanim prawda stanie się doktryną, dla chrześcijanina jest Osobą: „Ja jestem Prawda”. Na tym świecie znakiem przynależności do tej Osoby jest przynależność do Kościoła, ponieważ Kościół jest dalszym ciągiem Chrystusa.

Umysł pozwala ci odbywać kawałek drogi ku wierze, ale wiary ci

dać nie może. Nawet jeżeli jest rzeczą rozumną wierzyć, żadne rozumowanie nie prowadzi do Wcielenia Boga w Chrystusa, do jedności natury Boskiej w trzech Osobach, do przybrania Bożego jakiegoś Afrykanina z północy albo Murzyna, do dopełnienia tajemnicy dzieła stworzenia przez budowę mostu, narodziny dziecka, do dopełniania tajemnicy Odkupienia w jakimś chorym w szpitalu.

Wyobraźnia lub uczuciowość jeszcze mniej może doprowadzić do wiary albo jej pogłębienia. Nie trwóż się, że nic nie czujesz. Przeciwnie, dopiero wtedy, kiedy zgodzisz się wreszcie na to, że niczego nie rozumiesz na sposób ludzki, że niczego nie czujesz, prawdziwie posiadasz wiarę. Jeżeli chcesz rozumieć i widzieć jak Bóg, musisz się z tym pogodzić, że umrzesz tylko jak człowiek.

Dzięki propagandzie sprzedaje się raczej Helio niż Radion albo Radion raczej niż Helio, ale propaganda nie może dać wiary.

Propaganda zależy od techniki; wiara, jako dar Boga, zależy od modlitwy.

Propaganda uciska wolność; ponieważ wiara jest osobistą odpowiedzialnością człowieka Bogu, wymaga pełnej wolności.

Ażeby pomóc bratu, nie potrzeba demonstrować, ale kochać i modlić się: nie trzeba przekonywać, ale przekazywać Słowo i dawać świadectwo.

Jeżeli chcesz sam się ukształtować i jeżeli chcesz, żeby życie ci się udało, nie zadowolaj się krótkowzrocznością ludzką. Spotkaj Chrystusa, złóż się z Nim i ucz się tak myśleć jak On, żyć jak On. On ci użyczy swego wzroku i poznasz prawdziwy sens życia i świata, a potem będziesz z Nim i w Nim wieczyście JASNOWIDZĄCYM.

Michel Quoist „Niezwykły dialog”

Uczeni o Bogu

MORRISON

współczesny biolog

Stędem powodów

Istnieje siedem powodów, dla których patrząc na świat wierzę w Boga:

1. Zszechświat jest zorganizowany przez Wielką Inteligencję. Niemożliwym jest rzeczą, by tak zorganizowany świat mógł powstać przez „przypadek”.

2. Każde życie zmierza do jakiegoś celu. Ktoś musiał ten cel wyznaczyć.

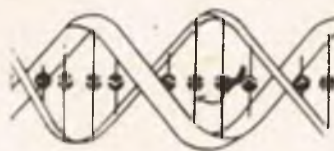
3. Mądrość instynktu zwierząt/ptactwa, mrówek, os, świadczy o mądrości Stwórcy.

4. Mądrość umysłu człowieka przewyższa nieskończenie instynkt zwierząt. Tys odczytań jej źródłem musi być mądrość.

5. Kto dał początek życiu!

6. W świecie panuje prawo równowagi. Istnieją obok siebie różne rodzaje zwierząt i roślin. Żaden z nich nie może je inak zaplanować nad innymi i znieść go bez reszty.

7. Człowiek może dojść do pojęcia Boga porównując celowość i harmonię świata.



A. Morrison, Prezydent Amerykańskiego Towarzystwa Biologicznego

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (782)

działalności praktycznej, jak i w twórczości pisarskiej, można się dopatrzeć, jeśli nie świadomego, to przynajmniej faktycznego usiłowania uzgodnienia głównych poglądów anabaptyzmu z heterodoksją, krytycznie ujętą, zachodnioeuropejską. Poglądy swoje Piotr z Goniądza opublikował m.in. w następujących pozycjach książkowych: *De primatu Ecclesiae Christianae* (ok. 1564 r.), czyli po polsku *O prymacie Kościoła Chrześcijańskiego*; *Doctrina pura et clara de praecipuis Christianae religionis articulis* (1570), czyli *Nauka czysta i jasna o szczególnych artykułach religii chrześcijańskiej*; książka ta ukazała się następnie w j. polskim w trzech ujęciach pod następującymi tytułami: *O Trzech*, *O Synu Bożym*, *O ponurzeniu chrześcijańskim*.

Pisanus Alfons — (ur. 1528, zm. 1598) — to teolog hiszpański, jezuita, pracujący w Polsce od 1577 roku jako profesor teologii moralnej i egzegeta, wpiers w Poznaniu, potem w Kaliszu, a jednocześnie doradca teologiczny i prawniczy swoich biskupów i kapituł. Zmarł w Kaliszu. Jest autorem szeregu dzieł, spośród których tu należy wymienić następujące: *De sacrificio D.N. Jesu Christi secundum ordinum Melchisedech* (1561), czyli po polsku *O ofierze P.N. Jezusa Chrystusa według obrządku Melchizedecha*; *Theses de creatione mundi, circa primum caput sacri libri Geneseos* (1564), czyli *Tezy o stworzeniu świata na podstawie świętej księgi Rodzaju*; *Jesus. Theses de verbis Apostoli ad Galatos II.* (1564), czyli *Jezus. Tezy na podstawie słów Apostoła w Liście Do Galatów roz. II*; *Theses theologicae. De fundamento Ecclesiae...* (1565), czyli *Tezy teologiczne. O fundamencie Kościoła*; *Acta et canones Sacrosancti Primi Oecumenici Concilii Nicaeni...* (1572), czyli *Akta i kanony świętego pierwszego ekumenicznego soboru nicejskiego*; *De continentia et abstinencia vel de apostolico coelibatu, ieiunio et ciborum delectu, doctrina catholica...* (1579), czyli *Nauka katolicka o*

umiarkowaniu i abstynencji, albo o apostolskim celibacie, poście i rozkoszy jedzeniu; *Confutatio brevis centum et tredecim errorum apud sectarios nostri saeculi, circa septem Ecclesiae Sacramenta* (1587), czyli *Krótkie zbicie 113 błędów sekciarzy naszego wieku w zakresie siedmiu sakramentów Kościoła*.

Piscator (Fishes) Jan — (ur. 1546, zm. 1625) — niemiecki kalwiński duchowny, profesor teologii w kilku kolejno uczelniach, autor szeregu publikacji, spośród których tu należy wymienić następujące: *Libri duo de iustificatione hominis coram Deo* (1590), czyli *O usprawiedliwieniu człowieka wobec Boga, dwie księgi*; *Aphorismi doctrinae christianae* (1589), czyli *Podstawy nauki chrześcijańskiej*; *Theses theologicae* (1596), czyli *Tezy teologiczne*. Jest również tłumaczem Biblii na j. niemiecki.

Pisecki Tomasz — (ur. r. ?, zm. 1645) — to polski teolog i kościelny działacz socyniański (→ Socyn Faust), autor kilku publikacji, spośród których tu należy wymienić następujące: *Platonici, sive de origine Trinitatis disceptatio* (ok. 1601), czyli *Platończycy, albo rozważanie o pochodzeniu Trójcy*; *An doctrina Trinitatis sit misterium a saeculis absconditum...* (1605), czyli *Czy nauka O Trójcy jest tajemnicą od wieków zakrytą? De antichristo libri duo* (bez daty), czyli *Dwie księgi o antychryście*.

Pismo święte — — Biblia

Pitra Jan Franciszek — (ur. 1812, zm. 1889) — francuski uczyony archeolog, benedyktyn, biskup, kardynał. Jest autorem kilku cennych dzieł, a do najważniejszych należą: *Hymnographie de l'Église grecque...* (1867), czyli *Hymnografia Kościoła greckiego*; *La Hollande catholique* (1850),

Nauczyciele życia

J.W. Dawid (1859—1914), prekursor polskiej pedagogiki (nauka zajmująca się rolą wychowawcy-nauczyciela) w książce „O duszy nauczycielstwa” za najważniejsze cechy, którymi winien wyróżniać się nauczyciel, uznawał miłość „dusz ludzkich”, potrzebę doskonałości, poczucie odpowiedzialności i obowiązku, wewnętrzną prawdziwość i moralną odwagę.

Wśród wielu dyspozycji, które winien posiadać nauczyciel-wychowawca wymienia się walory osobiste jako pewne cechy, które mogą ulegać zmianom, doskonaleniu, a nie są statyczne, zalicza się tu konsekwencję i wytrwałość w pokonywaniu przeszkód, stałość i prawość charakteru, sprawiedliwość. W kontaktach z uczniami powinien być obiektywny, wymagający, cierpliwy, pogodny, wyrozumiały.

Co zdecydowało, że pedagog szkolny stał się dla niektórych nauczycielem życia? Wielu pamiętnikarzy wymieniało kilka cech i walorów jednocześnie.

W pamiętnikach z lat międzywojennych najczęściej wymieniano następujące cechy osobowości nauczyciela: skromność, pracowitość, prawdomówność, oszczędność, wyrozumiałość, uśmiech, wesołość, poświęcenie dla innych i miłość do zawodu nauczycielskiego. Oto, co napisano na temat pracowitości: „Pewnego wrześniowego dnia przyszła do nas M.J. Ta drobna, elegancka pani z prześlicznymi rękami na zawsze została w mojej pamięci. Zarejestrowałem jej spojrzenie, pamiętam głos, ruchy, pismo. Na pamiętkę jej myśli trzymam kartkę, a na niej słowa: Jedynym celem człowieka jest żyć tak, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej. Bez utkwienia myśli w ten główny punkt nie ma życia, nie ma rzetelnego bytu”.

Bardzo cenią sobie pamiętnikarze dobroć i troskliwość nauczycieli: „W ósmej klasie zaskarbiła sobie szczególnie moje uczucie siwowłosa pani L. Byłam przeziębiona, mocno kaszlałam na lekcji. Kochana pani posłała po lekarstwo, kazała mi je zaraz zażyć i skrupulatnie dawkować w domu. Miała dla uczniów serce”.

Wielu pamiętnikarzy porównuje cechy osobowości nauczyciela do dobroci rodziców. To porównanie jest oceną najwyższą. „Była bardzo skromną kobietą, a jednocześnie energiczną i pracowitą. Można powiedzieć, że pedagog z powołania. Potrafiła zastąpić nam najczulszą matkę. Jestem już w podeszłym wieku, ale pamiętam ją jak dzisiaj”.

Wśród walorów dydaktycznych nauczycieli podkreślano takt pedagogiczny, kulturę osobistą, oddanie się sprawom młodzieży i obiektywizm w ocenie uczniów. Oto wypowiedź jednego z pamiętnikarzy: „Z profesorów utkwiała mi w pamięci młoda nauczycielka chemii — doktor J.O.B. która ten ciężki i suchy dla mnie przedmiot nauczania ożywiła bardzo ciekawymi doświadczeniami. Miałyśmy świetnie wyposażony gabinet fizyki i chemii, zajęcia prowadziła tak, aby do wyników dochodzić samodzielnie i z rozważaniem. Nie miałam nigdy specjalnych zdolności do przedmiotów ścisłych i nie lubiłam ich. Jed-



nak pani profesor swym wpływem, organizacją lekcji i doświadczeń potrafiła przemocować mnie te opory i z czasem stałam się zupełnie niezłą uczennicą. Imponowała mi również tytułem doktora i wielką kulturą osobistą”.

Przykład osobisty jako metoda wychowawcza jest jedną z najstarszych. Jeden z pamiętnikarzy tak o tym pisze: „W naszej wsi szkoła została zorganizowana w 1922 roku. Wszystkie dzieci pod karą administracyjną musiały pójść do szkoły. Naszym nauczycielem był S.B., który mieszkał w majątku. Ja sobie wzięłam na całe życie piękne przykłady wychowawcze, jakie nam wszczeriał dobry nauczyciel i wychowawca. Uczył czystości, kultury, oszczędności i prawdomówności. Wolał przykrą prawdę niż słodkie kłamstwa. Bardzo pragnęłam chodzić do szkoły, chociaż niekiedy nie było się w co ubrać”.

Bardzo istotnym składnikiem autorytetu nauczyciela jest jego wiedza. Ten element znalazł szczególne podkreślenie w analizowanych pamiętnikach. Oto przykład wypowiedzi: „A pani M.J., historyczka, posłanka na Sejm II Rzeczypospolitej, miała sugestywną siłę swoich wiadomości. Pięknym, przekonywującym słowem wprowadziła nas w tajniki przeszłości naszych dziejów i dziejów ludzkości. Często pewne pojęcia notowała na tablicy, wiążąc słowo z jego wizualnym obrazem. Mnie tak wciągnęła do swojego przedmiotu, że poszłam w jej ślady”.

Nauczyciele reprezentowali różne wartości, które stały się wzorami i wyznacznikami życia pamiętnikarzy. Najczęściej wymieniają oni humanizm, poszanowanie pracy, rozbudzanie aktywności jednostek i zbiorowości. Pedagodzy — nauczyciele życia kształtowali postawy życiowe swych wychowanków nie tylko w szkole, ale również poza nią, oddziałując bezpośrednio na jednostkę i środowisko.

Pamiętnikarze piszący o nauczycielach z okresu Polski Ludowej również wymienili najważniejszą cechę osobowości. Były to: dobroć, serdeczność, dokładność, prawdomówność, ambicja, zrozumienie wychowanków. Poznajmy jedną z charakterystycznych wypowiedzi: „Mój pierwszy nauczyciel życia to T.S. Człowiek ten nauczył mnie szczególnie jednej, bardzo ważnej cechy w życiu, a mianowicie dokładności. Wrażliwość na tę cechę głęboko utkwiała w moim sercu i w codziennym szarym dniu odzywa się zawsze. Bardzo dobrze pamiętam, jak T.S. wykonywał wszelkiego

rodzaju prace z wielką dokładnością i precyzją. Jego każda czynność była dokładnie pomyślana i wykonana. Nie bez znaczenia na moje życie miały wpływ inne pozytywne cechy mego pierwszego pedagoga. Swym postępowaniem nauczył szacunku do ludzi i ich pracy, uczył prawdomówności i ambicji”.

W wypowiedziach pamiętnikarzy, dotyczących stosunku współczesnych nauczycieli do uczniów podkreślano umiejętność przekazywania wiedzy, rozwijanie zainteresowań, pomoc w wyborze szkoły, optymizm, pobudzanie do intensywnego myślenia, atmosferę „rodzinną” na lekcjach, łatwy bezpośredni kontakt. „Do dziś wspominam nauczyciela, zarazem kierownika szkoły podstawowej. Czuliśmy się z nim — pisze T.J. — jak z rówieśnikiem, ale jednocześnie byliśmy mu posłusznymi. Przeżywał wraz z nami wiele wycieczek i przygód szkolnych. Często wystarczyło kilka jego przekonywujących słów lub tylko wymowne spojrzenie, by utrzymać dyscyplinę. Dziś, po latach stwierdzam, że największą zdziałało jego przyjacielskie, szczerze, wyrozumiałe podejście do nas. Był jednocześnie dobrym pedagogiem”.

A oto wypowiedź, w której zwraca się uwagę na ciekawie prowadzone lekcje. „Umiiała pięknie i ciekawie mówić. Byłam przekonana, że lekcje prowadzone przez panią S. będą nie tylko ciekawe, ale nauczymy się dużo. Nie pomyliłam się. Pani S. miała każdą lekcję starannie przygotowaną. Wykładała tak, że podręcznik był już niepotrzebny. Wkładała dużo serca i poświęcenia, aby z prowadzonych przez nią lekcji coś zostało. Była wielkim psychologiem, wiedziała, któremu uczniowi musi poświęcić więcej uwagi, okazać serce i zrozumienie. Swój zawód pedagoga wykonywała rzeczywiście z powołania i może z poświęceniem. Każdy uczeń to było dziecko pani S.”

Pewne cechy, przymioty nauczyciela są nieprzemijającymi wartościami. Dotyczą one osobowości nauczyciela-wychowawcy, jak również jego wiedzy i umiejętności przekazania jej wychowankom. Z analizy pamiętników wynika, że w przyszłości nauczyciel spełniać będzie dużą rolę w procesie pedagogicznym. Mimo technizacji życia i modernizacji szkoły między innymi przez prowadzenie maszyn — urządzeń dydaktycznych — pomoce naukowe nie zastąpią bezpośredniego oddziaływania człowieka na człowieka.



Orzeł — odwrocie karty tytułowej konstytucji sejmowych, 1676.
Ze zbiorów BN.



Plan Kamieńca Podolskiego,
ryt. Cyprian Tomaszewicz
Ze zbiorów BN.

„Rzeczpospolita w dobie Jana III”

— wystawa
w Zamku Królewskim w Warszawie



Koronacja króla Jana III 2 lutego 1676,
rys. Jonas Drentwett.
Ze zbiorów Graphische Sammlung Albertina w Wiedniu.

Rzeczpospolita ostatniej ćwierci siedemnastego wieku. Jest jeszcze pod względem liczby ludności i obszaru jednym z mocarstw europejskich, ale nękana wyniszczającymi wojnami i konfliktami wewnętrznymi przeżywa zmierzch swej świetności. Daleko co prawda do głębokiego kryzysu czasów saskich, ale porównanie sprawności aparatu państwowego Polski i czołowych mocarstw europejskich wypada coraz bardziej na jej niekorzyść. Ukazanie państwowości tej doby było właśnie celem wystawy zlokalizowanej w Zamku Królewskim w Warszawie — symbolu państwowości polskiej i pamiętki kultury narodowej, celowo zniszczonym, a z woli narodu odbudowanym po latach.

Okazją stała się trzechsetna rocznica odsieczy wiedeńskiej, wydarzenia tak bardzo znaczącego w zbiorowej pamięci Polaków. Otwarta 29 sierpnia, jedna z trzech wielkich wystaw rocznicowych — obok wilanowskiej i wawelskiej — zgromadziła około 750 eksponatów.

Otwiera ją pokaz Ziemi Rzeczypospolitej w Antyszambrze Wielkiej Sali Assamblowej, w ówczesnym ujęciu kartograficznym. Są więc mapy Polski i jej poszczególnych prowincji, plany i widoki miast, są także mapy Europy i Świata, wreszcie mapy nieba z zaznaczonym gwiazdozbiorem Tarczy Sobieskiego (łac. Scutum Sobiesci), nazwanym tak dla uczczenia zwycięskiego wodza po bitwie wiedeńskiej.

Z Antyszambru przechodzimy do pokojów Królewiczowskich; w dwóch pierwszych umieszczono obiekty ukazujące aparat państwowy. Rozpoczyna sejm — najważniejsza instytucja państwo-

wa, zgodnie z zamieszczonym cytatem: „Rzeczpospolita sejmem stoi”. Oglądamy dokumenty dotyczące obrad sejmu, elekcji posłów, kampanii sejmikowych, konstytucje, plany izby poselskiej i senatorskiej. W sąsiednich gablotach obiekty ukazujące urzędy kanclerza, podkanclerzego, podskarbiego, marszałka — oczywiście zgodnie z dwójnym charakterem państwa odrębnie koronne i litewskie. Tu także rzadko pokazywane, a niezwykle cenne księgi metryki koronnej i litewskiej, tłok pieczęci większej litewskiej używanej w latach panowania Jana III.

Drugi pokój królewiczowski ukazuje sądownictwo, władze samorządowe — ziemskie, miejskie, uniwersyteckie, wojsko, kościół i grupy wyznaniowe, cieszące się w warunkach ustrojowych Rzeczypospolitej pełną swobodą kultu. W obu pomieszczeniach towarzyszą nam twarze ludzi sprzed 300 lat, zarówno tych, którzy pełnili najwyższe urzędy kanclerzy i hetmanów, jak skromniejszych, np. starostów; widoki twierdz, księgi liturgiczne (ze wspaniałym ewangeliarzem ormiańskim).

Trzeci pokój królewiczowski pomieścił obiekty związane z osobą króla. Są tu portrety monarchów polskich XVII w. od Zygmunta III do Augusta II, akty elekcji, przedstawienia graficzne rytowane ówczesnie dla uświetnienia panowania władzy, a centralnym akcentem jest obraz Marca Allessandriniiego „Elekcja Augusta II”.

Z tej sali przechodzimy do Sali Senatorskiej, upamiętnionej uchwaleniem Konstytucji 3 Maja. Biel ścian, bogate złocenia,



Awers i rewers medalu koronacyjnego
Jana III i Marii Kazimiery, 1676 r.
Ze zbiorów Z.K.



Portret Jana III
Malarz z kręgu dworu królewskiego, po 1683 r.
Ze zbiorów MN, Oddział w Wilanowie.



Plan Wiednia, wydany przez Matthiasa Sentera.
Ze zbiorów BN.

herby Rzeczypospolitej z czasów panowania dynastii Wettynów i Stanisława Augusta, panoplia obrazujące stany Rzeczypospolitej i obraz Jana III, zawieszony nad miejscem, gdzie stał tron: wszystko obrazuje Majestat Rzeczypospolitej. W niszach okiennych jeszcze gabloty z najpiękniejszymi z zachowanych dokumentów królewskich XVII wieku i medalami wybijanymi dla uświetnienia panowania.

Z Sali Senatorskiej droga przez wystawę wiedzie nas do pokojów urzędu marszałkowskiego, w których oglądamy obiekty ukazujące wojnę z Turcją lat siedemdziesiątych, zabiegi dyplomatyczne poprzedzające odsiecz wiedeńską; są miniatury tureckie, sceny batalistyczne, wjazdy poselstw, dokumenty i stare druki.

Wreszcie w Galerii Warty — Wiktoria Wiedeńska. Z obrazów patrzą na nas twarze uczestników bitwy, polskich i obcych, są listy gratulacyjne monarchów europejskich, pisane do Jana III na wieść o zwycięstwie, miedzioryty ukazujące bitwę, dokumenty i stare druki związane z udziałem Polski w dalszej wojnie z Turcją, druki i medale upamiętniające sukces militarne połączonych wojsk chrześcijańskich. I wreszcie — dokument traktatu pokojowego w Karłowicach, oddający ponownie pod władanie Polski Podole z Kamieńcem, utracone w wojnie 1672.

Wracamy przez Salę Senatorską do Trzeciego Pokoju Królewiczowskiego, w którego wydzielonej części oglądamy fotokopie rągiów, czyli spis elektorów, którzy oddali głosy na Jana III

na sejmie elekcyjnym, i powiększoną rycinę przedstawiającą elekcję Jana III z planem Warszawy i okolic.

Ostatnia część wystawy, pomieszczona w Galerii Królewiczowskiej obrazuje dyplomację Rzeczypospolitej tego okresu. Pokazano ją poprzez dokumenty dyplomatyczne (m.in. wspaniałe, o długości 2—3 m. pisane alfabetem arabskim), listy, portrety monarchów europejskich, posłów, widoki stolic. Jest to obraz rozległości kontaktów dyplomatycznych, na które składały się stosunki z kilkunastoma państwami.

W podziemiach dodatkowo można obejrzeć około dwustu fotogramów gazet ówczesnych, traktujących o sprawach Rzeczypospolitej, zwłaszcza zaś o Wiktorii Wiedeńskiej, a także pokaz przeźroczy ilustrowanych muzyką i tekstem czytany przez Mariusza Dmochowskiego.

Wystawę zorganizował Zamek Królewski wraz z Archiwum Głównym Akt Dawnych i Biblioteką Narodową, a bardzo wiele obiektów pokazane w różnych muzeów kraju i od osób prywatnych demonstrowane jest po raz pierwszy.

Wystawa to trudna, wymagająca od zwiedzających pewnego przygotowania historycznego — ale niezwykle warta obejrzenia, ze względu na różnorodność i bogactwo eksponatów, znakomicie ilustrujących kulturę polityczną i duchową Rzeczypospolitej Jana III

E.D.

W przeddzień 12 rocznicy śmierci

Wspomnienie o Jadwidze Smosarskiej

„Jeszcze jako uczennica na pensji Anieli Hoene-Przesmyckiej, żony pisarza Miriama, marzyła o scenie. Po jakimś pensyjnym przedstawieniu Zenon Przesmycki (Miriam) powiedział do żony: „Ta uczennica powinna być aktorką”. Rodzice często zabierali mnie do teatru. Pamiętam, że wówczas „Orlątko” zrobiło na mnie wielkie wrażenie, a głównie zachwycona byłam fascynującym aktorem o pięknym głosie, Juliuszem Osterwą. Osterwa mieszkał w tym samym domu (Mazowiecka 4), gdzie mieściła się nasza pensja (...) Wyczekiwałam na balkonie chwili, kiedy wracał do domu, aby go choć z daleka zobaczyć (...) Przypominałam mu o tym, gdy był moim profesorem w Szkole Dramatycznej” — pisała w swoich pamiętnikach Jadwiga Smosarska, jedna z najwybitniejszych aktorek sceny polskiej. Znacznie wcześniej, gdyż już w 1938 roku, tygodnik „Kino” pisał na swych łamach:

„Co roku rodzą się nowe, przejściowe gwiazdy na polskim firmamencie filmowym, zapalają się i gasną, ale żadna z nich nie potrafi zaćmić blasku Jadwigi Smosarskiej. Czy to w dramacie, czy w lekkiej komedii Smosarska wybija się zawsze ponad ogólny poziom obrazu, tworząc role żywe, pulsujące krwią, niezapomniane...”

Jadwiga Smosarska urodziła się w Warszawie, w roku 1898. Jako aktorka debiutowała w 1920 r., w zespole teatru „Rozmaitości”. Od pierwszych ról, bardzo jeszcze skromnych, często drugoplanowych, zwracała uwagę widzów nie tylko swą grą, ale i wspaniałą apary-

Jadwiga Smosarska w roli Barbary Radziwiłłówny
w filmie pod tym samym tytułem



Jadwiga Smosarska

— zdjęcie wykonane w Stanach Zjednoczonych w roku 1940

cją i niezrównanym wdziękiem. „W uśmiechu — dziecko, w buncie — kobieta” — pisał o niej wówczas jeden z bardziej znanych krytyków teatralnych. I chociaż Smosarska odnosiła niebywale sukcesy na deskach wszystkich niemalże teatrów, zabyła najjaśniejszą i najpełniej w filmie. Jej popularność, która przerosła w legendę, trwającą do dnia dzisiejszego, ugruntowały role filmowe — w latach 1919—1939 wystąpiła aż w 25 filmach! Sama aktorka wyznała jednak, że nigdy nie zgadzała się grać więcej niż w dwóch filmach rocznie, nie chcąc poświęcać teatru dla filmu. Gra na scenie, żywy kontakt z widownią — dawał jej więcej zadowolenia i satysfakcji zawodowej, niż największe nawet role filmowe.

W filmach, a były to w większości melodramaty, Smosarska, doświadczona przez nieubłagany, zły los, ginęła bądź odradzała się przez wielką miłość do nowego życia. Z tego czasu właśnie pochodzą jej znakomite role jako szwaczka Kasia („Tajemnica przystanku tramwajowego”, 1922), Błada Bronka — kochanka apasza („Niewolnica miłości” 1923), Iwona („Iwonka”, 1925) czy — znana dziś z wielu odtwórczyń — Stefcia Rudecka („Trędowata”, 1926). Jako jednej z nielicznych udało się zachować, a nawet powiększyć swoją popularność kinową w latach trzydziestych naszego stulecia — już po udźwiękowieniu filmu. Występowała nadal z niezmiennym powodzeniem, tym razem w lekkich komediach — takich, jak np. „Czy Lucyna to dziewczyna?” „Dwie Joasie”, „Jadzia”. Nadszedł wreszcie rok 1936, a z nim tytułowa rola w filmie pt. „Barbara Radziwiłłówna”. I ta właśnie rola była chyba jej koronnym sukcesem. Piszę o niej w swoich wspomnieniach:

„Jednym z najlepszych był film „Barbara Radziwiłłówna”. dzięki reżyserii utalentowanego Józefa Lejtesa. Króla Zygmunta zagrał świetnie, urodziwy Witold Zacharewicz, który tragicznie zginął w czasie ostatniej wojny”...

Od listopada 1939 r. przebywała Jadwiga Smosarska w Stanach Zjednoczonych. Po wojnie wielokrotnie przyjeżdżała z mężem do kraju, by powrócić do Warszawy, swego rodzinnego miasta, w roku 1970. Ten powrót nie zawiódł jej — odnalazła wielu przyjaciół i nie tylko — także wciąż żywą pamięć o swoim wielkim aktorstwie. Jednego chyba tylko nie spodziewała się zupełnie — tego, że w niecały rok po powrocie do Ojczyzny powali ją śmiertelna choroba. Zmarła w dniu 1 listopada 1971 roku, ale pamięć o niej, legenda o jej aktorstwie — trwa nadal, i to nie tylko w pokoleniu, które pamięta ją osobiście, ale i w tym młodszy, znającym jej role ze starych, archiwalnych już filmów.

Na zakończenie — oddajmy jeszcze raz głos Jadzi. Tak wspominała ona swoje kontrakty zagraniczne:

„Dwukrotnie miałam zagraniczne propozycje filmowe. Pierwszy raz w początkach mojej pracy filmowej, gdy byłam w Berlinie. Zostałam wówczas zaangażowana do filmu pod tytułem, o ile pamiętam, „Raj utracony”. Gdy podpisywałam kontrakt, lzy mi bezwiednie ciekły na papier. Obawiałam się, że ten początek mojej pracy za granicą może się przedłużyć, a ja chciałam pracować w kraju. Mieliliśmy jeszcze pewien czas do rozpoczęcia zdjęć. wobec tego wróciłam tego samego dnia wieczorem do Warszawy. Skorzystałam wreszcie z zaziębienia i na podstawie świadectwa lekarskiego nie wróciłam już do Berlina. Był to jedyny kontrakt, jakiego nie wypełniłam.

Drugi raz, po filmie „Księżna Łowicka”, otrzymałam propozycję do Hollywood. Korespondencja trwała kilka miesięcy. Z Hollywood proponowano mi kontrakt na dwa lata, a ja godziłam się podpisać tylko na jeden film. Manager tłumaczył mi, że wytwórni nie opłaci się wyklądać olbrzymich funduszy na lansowanie w Ameryce aktorki jedynie tylko na jeden film. I znów moja kariera zagraniczna spełzła na niczym...”

„POLONEZ” PIERWSZY W PUCHARZE GORDONA BENNETTA

Puchar Gordona Bennetta po raz piąty dla Polski! Wznowione po 45-ciu latach przerwy, największe międzynarodowe zawody zakończyły się wspaniałym zwycięstwem polskich pilotów: Stefana Makne i Ireneusza Cieślaka. W ten sposób nawiązali oni do pięknych tradycji lat trzydziestych, kiedy to ekipy polskie zwyciężały czterokrotnie, w tym trzykrotnie z rzędu, zdobywając ten zaszczytny puchar na własność.

Czy Polacy byli faworytami tegorocznych zawodów? Czy wygrali szczęśliwie a może przypadkowo? Na te pytania jest nielato odpowiedzieć. W wielkich zawodach balonowych, podobnie jak w każdej innej konkurencji sportowej nie zawsze wygrywają faworyci. Decydują nieraz różne czynniki, jak odporność nerwowa, dobry dzień, samopoczucie, psychiczne nastawienie itp. Faktem jednak jest niezbitym, aby wygrać z najlepszymi, trzeba być samemu zawodnikiem najwyższej klasy, dorównywać im pod wieloma względami, być równorzędnym rywalem. Zawodnik słaby, nie reprezentujący wysokiej klasy, nigdy nie jest w stanie wygrać zawodów.

Faworytami tegorocznego pucharu Gordona Bennetta byli Amerykanie. Im dawano najczęściej szansę. Oni też posiadali najlepsze sprzęt, doskonałość wyposażenia odbiegający od reszty rywali. Ponadto w ich ekipie znajdował się Maxi Anderson, słynny zwycięzca Atlantyku, pilot z ogromnym doświadczeniem w lataniu balonem, na ogromnych przestrzeniach. A jednak wygrali Polacy!

Nasi zawodnicy pojechali przede wszystkim ze względu na tradycje. Jakże mogło być inaczej, przecież po raz ostatni przed 45 laty Puchar Gordona Bennetta wygrała polska załoga: Tadeusz Janik — Antoni Janusz.

Stefan Makne i Ireneusz Cieślak w ostatniej niemal chwili uzyskali pomoc i zgodę na wyjazd do Paryża. Długo walczyli miłośnicy tej dyscypliny o udział w tej imprezie. Używano argumentu niepodważalnego — wielkich tradycji Polski w pucharze. W końcu dzięki poparciu wielu ludzi, dla których żadne trudności nie były przeszkodą dla tak ważnej imprezy, dosłownie w ostatniej chwili zakłady w Legionowie uszyły balon, a Fabryka Samochodów Osobowych dała na ten cel odpowiednie pieniądze i dwójka pilotów była gotowa do drogi, na start w Paryżu.

Nasi obaj piloci dość sceptycznie, ale i zarazem realnie oceniali swój udział w tak wielkiej imprezie. Wiedzieli doskonale, że konkurenci w większości mają lepszy sprzęt, są lepiej przygototowani. W porównaniu z latami przedwojennymi, kiedy to mieliśmy całą plejadę znakomitych pilotów balonowych doskonale sprzęt i najbardziej nowoczesne, podobno najlepsze balony w świecie, teraz przyszło startować w balonie w ostatniej niemal chwili wykonanym... Swoją udział w tak ważnej i prestiżowej imprezie uważali już za sukces... I wygrali.

Na pewno nie przyszło im to łatwo, ale jak mówi stare porzekadło sportowe: „szczęście sprzyja prawie zawsze najlepszym”.

Wspominając tegoroczny sukces naszych pilotów, warto chyba przypomnieć historię Pucharu Gordona Bennetta. Kto był jego założycielem? Jak i kiedy to się zaczęło?

Pierwsze zawody balonowe rozegrane zostały w 1906 roku, a fundatorem ich był amerykański dziennikarz i wydawca, założyciel „New York Evening Telegram” James Gordon Bennett. Początkowo interesował go najbardziej sport samochodowy, jemu poświęcił najwięcej czasu, fundował nagrody, sponował się jego emocjami. Potem jednak zaczęło go pasjonować lotnictwo, a szczególnie zawody balonowe — został ich pierwszym inicjatorem i fundatorem zarazem. I tak narodził się od jego imienia i nazwiska słynny Puchar Gordona Bennetta. I choć jego fundator nie żyje już od 1918 r., zawody rozgrywane były w latach dwudziestych i trzydziestych corocznie, by w tym roku wznowić je od nowa.

W taki sposób powstała ta niezwykle popularna przed wojną impreza. Regulamin zawodów ustalony przez G. Bennetta był bardzo prosty i jasny: zwycięży ten balon, który osiągnie najdłuższą odległość, a kraj, którego zawodnicy trzykrotnie z rzędu odniosą zwycięstwo, zdobędzie puchar na własność.

W latach 1906—1938 zawody rozegrano 26 razy. Zgodnie z regulaminem (który przewidywał także nagrodę w wysokości 50 tysięcy franków) czterokrotnie fundowano nowy puchar, gdy poprzednie zdobywano na własność — najpierw piloci belgijscy, później dwukrotnie za sześć kolejnych zwycięstw Amerykanie (USA), wreszcie Polacy.

Jednym z najsławniejszych pilotów balonowych był Belg Ernest Demuyter, który aż sześć razy zdobył puchar Gordona Bennetta. Po raz pierwszy wystartował w tych zawodach jako 19-letni chłopiec w roku 1912. W roku 1920 Ernest Demuyter zwyciężył w zawodach rozgrywanych na terenie USA, pokonał wtedy ogromną odległość, przeszło 1700 kilometrów. Następne zawody (jak przewidywał regulamin) rozegrane zostały w Belgii. Na swoim terenie, Belg wprawdzie nie odniósł zwycięstwa, ale był jednym z bohaterów tych zawodów. Gdy był już na wysokości 1400 metrów, zauważył, że pod gondolą jego balonu wisi jakiś człowiek. E. Demuyter wciągnął go do środka ratując mu życie, ale szans na zwycięstwo już nie miał. Tym nieszczęsnym „pasażerem” okazał się pracownik z obsługi lotnictwa. Jednakże już w trzech kolejnych zawodach w latach 1922—24 E. Demuyter okazał się pilotem nie do pokonania, odniósł przekonywujące zwycięstwa, zdobywając na własność puchar dla Belgii. Wygrał również w latach 1936—1937, będąc w tym czasie jedynym groźnym rywalem dla polskich pilotów. Polskie zwycięstwa w historii Pucharu Gordona Bennetta zapoczątkowali dwaj znakomici piloci Franciszek Hynek i Zbigniew Burzyński. Oni to właśnie wygrali zawody w 1933 roku, przelatując na balonie „Kościszko” ponad 1360 kilometrów. Warto dodać, że były to lata wspaniałych sukcesów polskiego lotnictwa, nie tylko balonowego. Polscy piloci Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura zwyciężyli w największych lotniczych zawodach — zwanych Challenge de Tourisme International, rozegranych w 1932 roku w Berlinie. W niecały rok później Stanisław Skarżyński, jako drugi pilot na świecie, samotnie przeleciał na małym samolocie sportowym słynnym RWD ponad Atlantykiem. Polscy lotnicy zwyciężali, bili rekordy światowe, a takie nazwiska jak: Tadeusz Karpieński, Bolesław Orliński, Janacy Giedgowd, Jerzy Bajan, czy Stanisław Płaczynski znane były nie tylko w Europie, ale w całym niemal świecie.

Wróćmy jednak do dalszej historii Pucharu Gordona Bennetta. W rok później (1934 r.) w Warszawie zwyciężyła ekipa Franciszek Hynek — Po-

maski, przed parą Burzyński — Zakrzewski na balonie „Warszawa II”. Pierwsi pokonali odległość 1333 kilometry, drudzy zaledwie trzydzieści kilometrów mniej. Zgodnie więc z regulaminem po raz kolejny zawody rozegrano w Polsce. I znów wygrali Polacy. Tym razem zwyciężył Zbigniew Burzyński — wraz z W. Wysockim na balonie „Polonia II”. Uzyskali oni jeden z najdłuższych przelotów w historii zawodów, bo aż 1650 kilometrów.

Trzeba w tym miejscu podkreślić ogromne zainteresowanie Pucharem Gordona Bennetta w naszym kraju. Zwycięstwa Polaków w tych niezwykle prestiżowych zawodach międzynarodowych przyjmowano w społeczeństwie z dumą i i satysfakcją. Były to lata fascynacji lotnictwem i nie tylko samoloty, ale także balony cieszyły się wtedy ogromną popularnością.

Lata 1936 i 1937 były mniej pomyślne dla naszych pilotów — wysłaliśmy wtedy słabsze ekipy, które wprawdzie uplasowały się w czołówce zawodów — ale zwyciężył wtedy nasz najgroźniejszy rywal Belg Ernest Demuyter. Jednak jeszcze raz przed wybuchem II wojny światowej polski sport balonowy odniósł sukces w Pucharze Gordona Bennetta. Zwyciężyli wtedy dość pewnie Tadeusz Janik i Antoni Janusz na balonie „LOPP” (Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej).

Następne 27 zawodów miały się po raz kolejny odbyć w Polsce. Niestety do tych zawodów już nie doszło — wybuchła wojna.

Po II wojnie sport balonowy przeżywał głęboki kryzys i to nie tylko w naszym kraju. Pomimo ogromnego zaangażowania Franciszka Hynka, Zbigniewa Burzyńskiego i innych naszych znakomitych pilotów przedwojennych, sport balonowy jakby stanął w miejscu. Dopiero lata 70 przyniosły zmianę na lepsze. Stało się to za przyczyną szczególnie Amerykanów. Ich ciągłe próby pokonania Atlantyku zakończono zostały wreszcie sukcesem w roku 1978. Nieustępliwy Maxi Anderson oraz Don Ida dokonali tej niebywałej sztuki. Przed nimi wszystkie próby zdobycia Atlantyku kończyły się niepowodzeniem, nie obeszło się też bez tragedii.

Wreszcie po 45 latach przerwy, reaktywowano Puchar Gordona Bennetta. Stefan Makne i Ireneusz Cieślak — dwaj inżynierowie — energetycy z Poznania, pojechali do Paryża z przechodnim Pucharem, mieli go bronić i — w marzeniach przywieźć do Polski z powrotem. Oba naszych pilotów łączyła już od dawna pasja latania. Na balonach, szybowcach, samolotach. Ale czy te walory były wystarczające aby przywieźć Puchar z powrotem? W niedzielę 26 czerwca obaj znaleźli się na Paryskim Placu Concorde, by wystartować w największej imprezie balonowej, w Pucharze Gordona Bennetta. Wznowione po tak długiej przerwie zawody miały być w Paryżu wielkim wydarzeniem, z dziesiątkami tysięcy widzów przy starcie. Niestety stało się inaczej. W momencie startu rozszalała się nad miastem potężna burza. Polacy postanowili przeczekać nawałnice i wystartowali jako ostatni, dosłownie na minutę przed oznaczonym limitem czasu. Gdyby go przekroczyli, zostaliby zdyskwalifikowani. Wszyscy uczestnicy zawodów mieli dodatkową trudność, by odchylić się możliwie najdalej na południe od wschodniego kierunku wiatru. NRD bowiem nie wyraziła zgody na przelot balonów nad swoim terytorium, regulamin imprezy ustalono więc tak, że lądowanie w NRD oznaczało dyskwalifikację. Tymczasem ciągle wiało na wschód i prognozy nie zapowiadały zmiany pogody. Taktyka zawodników była różna — jedni korzystali z podmuchów, lecieli szybko. Inni — podobnie jak Polacy czekali. Nasi piloci pierwszą noc spędzili w tzw. obszarze inwersji, na niewielkiej wysokości. Nie tracąc balastu, zyskiwali po woli kilometry. Późnym rankiem wyszło słońce. Byli teraz coraz wyżej. Na wysokości 2500 metrów przekroczyli granicę Francji i RFN, z pierwszego lotniska uzyskali zgodę na przelot i warunki meteo. Nadal były niekorzystne. Dopiero pod wieczór uzyskali drogą radiową pomyślny sygnał z Frankfurtu: wiatr 340. Lepsze warunki stwarzały możliwość odbicia na południe, lotu w kierunku Austrii i Jugosławii. I tak mijaly godziny, potem jeden dzień i następny. Trudy 2 nieprzespanych nocy dawały o sobie znać. Czuli, że są na pograniczu wytrzymałości. Chcieli wygrać, ale nie za wszelką cenę. Nie wiedzieli jeszcze o tragicznym wypadku amerykańskiej załogi, Maxie Anderson — Don Ida. Amerykanie zginęli poprzedniego dnia. Przyczyną wypadku było oderwanie się kosza od balonu. I tak przez zaniedbanie lub niedopełnienie zginęli znakomici piloci, bodaj najbardziej doświadczeni ze stawkii tegorocznych zawodów.

S Makne i I. Cieślak zaczęli szukać miejsca do lądowania. Omijając pola uprawne i linie wysokiego napięcia, zakończyli lot na polance, w wiosce Offenstetten, 36 km od Regensburga, po 36 godzinach lotu. Z najbliższego domostwa, zgodnie z regulaminem zatelefonowali do Paryża, informując o miejscu lądowania „Poloneza”. Usłyszeli w odpowiedzi, że mają dobrą odległość. Ze zwyciężyli — jeszcze nie wiedzieli. Zwycięska ekipa S. Makne i I. Cieślak nie osiągnęła wprawdzie zbyt imponującej odległości — „Polonez” bowiem zaliczył tylko 690 km, ale zwycięstwo Polaków i tak było zdecydowane — wyprzedzili oni o ponad 200 km następną załogę. W Paryżu nie fetowano sukcesu Polaków, tak jak na to zasługiwali po 45 latach wznowienia zawodów. Organizatorzy byli przygotowani na wygraną Francuzów lub w „najgorszym” przypadku Amerykanów. Ponadto na atmosferze zaciążyła niewątpliwie tragiczna śmierć załogi USA.

Zgodnie z regulaminem następne zawody powinny odbyć się w Warszawie. Już dzisiaj trzeba zadbać o to, aby ta impreza o międzynarodowej sławie była pod każdym względem udana. Wygrać po raz szósty będzie niezwykle trudno, ale tradycja zobowiązuje.

Świat Jesieni

Rozplakała się Jesień za Latem,
które było przecież jej bratem,
że uciekło przed nią ciemną nocą,
ale dokąd sobie poszło i po co?

— Czyż ja straszna taka, że brat mój ucieka?
Nawet dnia jednego na mnie nie czekał!
Blizsza jemu była zawsze Wiosna,
bo to jego ukochana siostra.

Na mnie Lato nigdy nie spojrzało,
najpiękniejsze kwiaty dla Wiosny zabrało.
Cóż ja winna, że chłód niosę z sobą,
ze mną siostra najstarsza kroczy drogą.

Oprócz chłodu mam słońce w koronie,
jarzębiny korale na skroniach,
niosę w koszach rumiane owoce,
a czyż nie są gwiazdziste me noce?

Poszła Jesień smutna leśną drogą
i wiatr się użalał nad niebogą,
otuliła się szalem srebrzystym—
bo utkanym z pajęczynek mglistych.

Już w dolinę zesza wolnym krokiem,
by nazbierać wrzосу nad potokiem.
Z traw mrugały ku niej orzechy kasztanów—
bardzo miłych i zalotnych panów.

Dogoniła tu ją ruda wiewiórka,
bo dostrzegła ją z leśnego pagórka
i zaprasza Jesień złotą w gošcinę,
aby wpadła do niej — choć na godzinę!

Chętnie Jesień zaprosiny przyjęła,
do kasztanów cichutko westchnęła,
potem chwilę posiedziała nad wodą,
strojąc włosy jarzębiny urodą.

W lustro wody kryształowe patrzyła
i w głębinę swe korale rzuciła.
Zapłakała jeszcze raz za bratem
i zaczęła panować nad światem.

MAŁGORZATA KAPIŃSKA



Dowód na Jesień

— Daj mi dowód na to,
że odeszło Lato!

— Bardzo proszę! Słońce
nie jest tak palące...
Wszystko leci z drzewa
i ptaszek nie śpiewa...
Choć deszcze padają,
kwiaty usychają.

— Lecz astry w ogrodzie
kwitną nadal co dzień.

— Kwiaty to Jesień.
Jesień je rumieni,
maluje owoce
przez chłodnawe noce,
zbiera też kasztany
w kosz zaczarowany.

— Kasztany, żołędzie
można zdobyć wszędzie...

— Bo spadają z drzewa
w liściastych ulewach.
Liście bursztynowe,
nawet fioletowe,
jak winogron kiście
spadają rzeświście.

— A co Jesień na to,
że odeszło Lato?

— Śle już za nim ptaki.
Widzisz kluczy znaki?
Ptaki odlatują,
u nas nie zimują,
gdyż gonią za latem,
za swym ciepłym światem.

— Jak przywitam Jesień?
Przecież minął wrzesień!

— Chociaż minął wrzesień,
to króluje Jesień.
Bukiet zbierz wspaniały
z liści złotych cały,
jarzębiny kiście
włóż też między liście...

— Już mam dowód na to,
że odeszło Lato!

M. KAPIŃSKA

Zaczarowane źródółko

(dokończenie z poprzedniego numeru)

Sniło się jej coś bardzo pięknego, ale i niezwykłego. Oto z szmerzącego cicho źródółka wyszedł młody, niewiele od niej starszy śliczny chłopiec o długich, lekko kasztanowatych lokach i miłym, łagodnie brzmiącym głosie. Poglaskał delikatnie dziewczynkę po głowie i powiedział:

— Posłuchaj mnie uważnie, Nastusiu! Nie musisz już dalek szukać Leśnego, ja ci pomogę uratować mamę. Zostawiam ci tu w tym liliowym dzwoneczku wodę z zaczarowanego źródółka — zanieś ją chorej. Gdy wypije łyżeczkę tej wody — natychmiast wyzdrowieje. Tylko wodę nieś ostrożnie — w kielichu kwiatka nie ma jej dużo, a każda jej kropla jest drogocenna... Ale pamiętaj o jednym: gdy woda ci się wyleje, lub gdy ją zgubisz — twoja mama jest zgubiona! Nigdy już po raz drugi nie trafisz w to miejsce, nie odnajdziesz ani mnie, ani mojego uzdrawiającego źródółka... Bądź więc bardzo, bardzo ostrożna! A teraz — śpij jeszcze, bo musisz dobrze wypocząć przed powrotną drogą, która wcale nie będzie łatwa... I to powiedziawszy — chłopiec wskoczył w szmaragdową toń błyszczącej wody źródółka i zniknął.

Nastka obudziła się, kiedy złote promyki słońca, przedzierające się odważnie przez gęstwę zielonych liści, zaświeciły wesoło w jej śpiące oczka. Dziewczynka przeciągnęła się leniwie, nie bardzo pamiętając, skąd się tu wzięła i po co. Ledwo jednak wzrok jej spoczął na małym, leśnym dzwonku, rosnącym tuż obok jej stóp, a napełnionym po brzegi pachnącą, dziwną wodą — natychmiast wszystko sobie przypomniała: i chorobę mamy, i swoją długą wędrówkę do Starego Lasu, którą zakończyła nad małym, leśnym źródółkiem. Przypomniał się też Nastusi sen — i wszystko to, co powiedział jej mały, źródłany chłopiec... Teraz, gdy uważnie rozejrzała się wokół — nie zobaczyła już żadnego źródółka, żadnego strumyczka... Tylko zielony mech, którym obrośnięty był niewielki kamień w małym zagłębieniu, był lekko wilgotny, a lekko zrudziałe gałązki jedliny i sosny, które nań leżały, układały się jakby w falującą czuprynę, przypominającą loki tego dziwnego, wysnionego chłopca...

Długo nad tym wszystkim myślałaby jeszcze Nastusia, ale wspomnienie o matce, która czekała na cudowny lek, poderwało ją do działania. Nie zastanawiała się już dłużej: gdyby nie wierzyła chłopcu ze swojego snu, nie byłoby wody w liliowym dzwoneczku — wody dziwnie, cudownie pachnącej, dodającej otuchy i siły... I Nastusia delikatnie pochyliła się nad tym leśnym kwiatkiem, ostrożnie wygrzebała roślinkę z ziemi, nie chcąc pozbawić jej życiodajnych korzeni. I z tym skarbem wyruszyła w drogę powrotną...

Szła powoli, pamiętając o przestrodze, udzielonej przez chłopca: że każda kropla wody jest drogocenna, a tylko ta woda pomoże ukochanej matce odzyskać siły i zdrowie... I pamiętała też o tym, że nigdy w życiu nie trafi już drugi raz nad to samo źródółko — musi więc, naprawdę musi donieść tę wodę do chatki, do mamy.

Bardzo długo szła. Dłużyla się każda minuta, każda godzina tej wędrówki. Dziewczynka prawie nie rozglądała się, i nie patrzyła na drogę, zapatrzona pod nogi, by nie potknąć się, nie upaść, nie uronić ani kropelki wody z kwiatuszka. Słońce stało już wysoko na niebie, nie było już ani widać, ani słychać Starego Lasu, a Nastusia szła dalej i dalej. Aż nagle — usłyszała tuż przy uchu słabujące brzęczenie. Przystanęła, rączką zakryła kielich kwiatu, i dopiero wtedy rozejrzała się wokół. Okazało się, że to małe pszczołka krąży nad jej głową i cicho bzyczy:

— Nastusiu... Umieram z pragnienia... Daj mi choć odrobinę, kapeńkę wody... Jeżeli nic nie wypiję, nie doleję do swego ła, nie będę miała siły dolecieć nawet do najbliższych kwiatów...

I już, już chciała Nastusia przepędzić pszczołkę, zasłaniając zazdrośnie tę odrobinę cudownej wody, którą niosła. Jak to tak — dać pszczołce? A matka? Jej matkę? Czy wystarczy dla dużego, dorosłego człowieka ta odrobina wody? A w koń-



cu — czy może dać pszczołce wodę, czy ten dziwny chłopczyk nie powiedział, że musi donieść wszystko do chatki!

Bzyczenie pszczołki ucichło, a Nastusia nagle zwstydziała się głęboko. Odmówiła po raz pierwszy w życiu pomocy komuś, kto jej potrzebował! Przecież, jeżeli woda jest zaczarowana, to jeżeli napije się jej pszczołka, tylko odrobinę, to na pewno wystarczy i dla matki! Musi wystarczyć! I rozejrzała się za pszczołką, a zobaczywszy ją, jak osłabiona i ledwo żywa pełźnie po ziemi, podniosła ją delikatnie i postawiła na krawędzi kwiatu. Pszczołka zaledwie dotknęła wody — natychmiast odzyskała siły. Zamachała wesoło skrzydełkami i zawołała do Nastki:

— Dzięki ci, dzięki! Powiedz, czy mogę ci w czymś pomóc? Chętnie dla ciebie coś zrobię, tylko nie wiem, co?

Nastusia nie namyślała się ani chwili.

— Pszczołko, kochana! Leć do mojej chatki, powiedz mamie i Oleńce, że ja już nadchodzę, niech nie tracą nadziei! I powiedz, że mam lekarstwo dla mamy, że już niedługo będzie zdrowa!

Pszczołka zerwała się do lotu, a Nastusia — z lekkim już sercem — ruszyła dalej. Już cieszyła się myślą o tym, jak to mama się ucieszy, kiedy wyzdrowieje, i jak z Oleńką będą się śmiały z niedawnego strachu... Nagle nóżka Nastki trafiła na zwykły, polny kamień, leżący na drodze, dziewczynka zachwiała się, i znalazła na ziemi. Skamieniała z przerażenia, nie śmiejąc podnieść oczu na kwiat — rozplakała się bezradnie. Już była tak niedaleko! Już była tak blisko domu! Ach, jak mogła upaść, co teraz będzie?!

W pewnym momencie poczuła, jak coś miłego i puszystego ociera się o jej nóżki. Podniosła głowę i widzi — a to ten mały szaraczek, któremu nastawiła zwichniętą nóżkę — ociera się przemiłnie o nią i pyta:

— Nastusia, czemu płaczesz? Nie płacz, powiedz lepiej, co się stało?

I Nastusia, jeszcze żałośnie chlipiąc, mówi zajączkowi, co się jej przytrafiło. A zajączek pyta, wyciągając łapki, czy to przypadkiem nie o ten kwiatuś chodzi, który właśnie...

W małych łapkach zajączka lśni liliowy, nietknięty dzwoneczek, lekko kołysząc się, jakby uśmiechając... Nastka nie wierzy własnym oczom — ale cudowna woda w kwiatku lekko się marszczy, drży, kołysze wraz z kwiatem! To szczęście!

Już mroczny, chłodny wieczór zapadał na bezkresnych polach kiedy Nastusia doszła do swej chatki. Weszła po cichutku, na paluszkach, z liliowym dzwonkiem przyciśniętym mocno do piersi. Mama spała, ciężko oddychając, a zapłakana Oleńka tuliła się do jej rąk. Ile było radości, płaczu i szczęścia, kiedy mama wypila wodę z dzwoneczka i usiadła — już zdrowa, z błyszczącymi oczami, wpatrzonymi z czułością bez granic na swoje dwie dzielne, kochane córeczki — tego nie opisze żadne słowo!

Obie dziewczynki wyrosły na prawe, znane z miłości i dobrego serca dla wszystkich kobiety, a największym ich skarbem był, posadzony na honorowym miejscu w ogrodzie — małe, skromny, leśny dzwoneczek...

E.L.

Z zagadnień etyki chrześcijańskiej

Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu

Stare katechizmy i podręczniki etyki mają dosadniejsze i chyba trafniejsze określenia wady, którą mamy zamiar przedstawić w dzisiejszej gawędzie. Mówią one po prostu: obżarstwo i pijaństwo. Teraz rzadko używa się tych mocnych i niemilych dla uszu ludzkich słów, a w ich zastępstwie stoi bardziej eleganckie: nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu! Idąc za postępem, używam tej wytworniejszej formy na określenie bardzo pospolitej i niestety ogromnie rozpowszechnionej wady, zwłaszcza, gdy chodzi

o nadużywanie szkodzących zdrowiu napojów alkoholowych. Byłoby ocale niebo lepiej, gdyby zamiast słownictwa udało się zmienić zgubny obyczaj. Tymczasem zwyczaj picia dawno przekroczył wszelkie godziwe granice. Katastrofalna fala pijaństwa porwała w swe brudne odmęty wielkie rzesze naszych rodaków, a co najgorsze — zbiera straszne żniwo wśród młodzieży. Pijaństwo wraz z narkomanią stało się po prostu klęską społeczną. By tej klęsce położyć tamy, sejm uchwalił niedawno nową ustawę „O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi”. Potrzebna była aż ustawa! Gdyby nasi współrodacy byli wychowywani w duchowej samodoskonalności, ustawa antyalkoholowa byłaby niepotrzebna. Ale wróćmy do tematu.

O skrajnie złej formie obżarstwa, na szczęście obecnie bardzo rzadkiej, opowiada Sienkiewicz w „Quo vadis”. Pogańscy Rzymianie jedli i pili dla samej przyjemności jedzenia i picia. Gdy żołądek już więcej nie mógł przyjąć, szli do specjalnego pomieszczenia, by spowodować wymioty, opróżnić brzuch i wrócić znów do stołu. W czasie, gdy na

świecie miliony ludzi przymiera głodem, każdy, kto tak obchodziłby się z jedzeniem, grzeszyłby ciężko. Odmianą nieumiarkowania w jedzeniu jest łakomstwo, objawiające się najczęściej u dzieci. Objadanie się słodyczami bywa powodem bólów brzucha. Grymaszenie przy jedzeniu prowadzi często do niedożywienia. Z dziecka robi się „Tadek niejadek”. Organizm mizernieje i jest podatny na różne choroby. Jeść należy wszystko, co jest podane na stół, a czego nie zabrania specjalna dieta.

Bez porównania większe szkody duchowe i materialne powoduje nieumiarkowanie w przyjmowaniu napojów, zwłaszcza alkoholowych (pijaństwo) oraz używek odurzających (narkomania). Alkohol i narkotyki zabijają ciało i ducha, niszczą wszelkie zasady i hamulce moralne. Pod wpływem zamroczenia alkoholik staje się groźny dla siebie i otoczenia. Upijanie się do utraty przytomności i panowania nad sobą stanowi zawsze grzech ciężki. Święty Paweł uczy: „Nie łudźcie się; pijacy Królestwa Bożego nie osiągną”. Oprócz osobistych strat moralnych i materialnych, jakie ponosi sam pijący,

naraża on na podobne straty swoje otoczenie. Jest niebezpieczny dla innych ludzi na drodze i w pracy, a największą krzywdę wyrządza rodzinie. Gazety niemal codziennie przynoszą smutne przykłady. Oto jeden z tysięcy: przed sądem w Rzeszowie zeznaje trzynastoletni chłopiec jako świadek przeciw rodzonemu ojcu: „Tatusi jest alkohikiem i przepija wszystkie pieniądze. Nie dość że nie daje nic na nas, to jeszcze znęca się fizycznie i moralnie nad mamusią i nad nami. Matkę maltretuje w pokoju, ubliża jej, bije batem ją i nas. Takie sceny pamiętam od najmłodszych lat. Teraz coraz częściej grozi, że ją zabije, więc żyjemy w ciągłym strachu, by nie spełnił po pijanemu tej groźby...” („Nowiny”).

Czy ten wyrodny człowiek nie stworzył własnej żonie i dzieciom piekła już na tej ziemi?

Najwyższy czas, by wszystkie siły społeczne pomogły Państwu w zwalczaniu alkoholizmu — największej plagi naszego narodu, dla dobra każdego Polaka i całego Kraju.

ks. ALEKSANDER BIELEC

PORADY

Lekarskie

Co bardziej wskazane — kąpiel czy natrysk?

Przyjęła się u nas opinia, że kąpiel uspokaja, a natrysk — pobudza. Tymczasem dobrodziejstwa wynikające z kontaktu z wodą (niebezpieczeństwa też!) zależą przede wszystkim od tego, w jaki sposób z ablucji tych korzystamy.

Uspokajająco działa kąpiel w wodzie letniej, której temperatura nie przekracza 34°. Bierze się ją wieczorem, by zaraz po wyjściu z wanny położyć się do łóżka. Kojące i nasenne działanie takiej kąpeli można dodatkowo wzmocnić dodatkiem wywaru z kwiatu lipowego (240 gram na jedną kąpiel). Natomiast wbrew temu, co się przyjęło sądzić, wywar rumianku, łagodzący podrażnienia skóry, na organizm ludzki działa raczej podniecająco.

Po długiej i męczącej podróży lub większym wysiłku fizycznym marzymy przeważnie o ciepłej kąpeli. Potrzeba jej bywa niekiedy większa niż uczucie głodu, a pogrążenie się w ciepłej wannie łączy się wówczas ze szczególną przyjemnością. Ciepła woda rozluźnia skurczone wskutek zmęczenia mięśnie, sprowadza uczucie ulgi i odprężenia. Ale uwaga — nadużywanie ciepłych kąpeli może być ryzykowne — nawet ze względów kosmetycznych. Skóra nie jest gąbką nasiąkającą w miarę jej nawilżania. Poddawana częstemu i długotrwałemu działaniu wody ulega

odwodnieniu i wysuszeniu. Woda, w połączeniu z mydłem, wymywa z naskórka tłuszcz, którego rola m.in. polega na zatrzymywaniu wody, na zabezpieczeniu jej przed wyparowaniem. Rozszerzone pod wpływem ciepła pory wymagają parowanie i oddychanie skóry, która pozbywa się dzięki temu swoich zasobów wodnych. Dokuczliwe swędzenie po wyjściu z wanny dowodzi nie czego innego, jak właśnie jej odwodnienia i wysuszenia. Toteż częste zażywanie ciepłych kąpeli, przedłużanie ich ponad dopuszczalną granicę 15 minut prowadzi do przedwczesnego zwiotczenia i zesterzenia się skóry.

Realne niebezpieczeństwo dla zdrowia stanowi kąpiel gorąca, w

temperaturze ponad 36°. Z chwilą wejścia do takiej wody krew gwałtownie wypełnia naczynia krwionośne skóry, serce zostaje pozbawione swej normalnej porcji i wówczas może nastąpić nawet omdlenie. Dlatego też przezornie należy przestrzegać w wannie pozycji siedzącej, z pierśią ponad wodą lub na kłęczkach.

Ktoś, kto odczuwa łamanie w kościach i dreszcze sądzić może, że jego samopoczucie poprawi się po gorącej kąpeli. Nic podobnego! Gorąca woda torpeduje obronę organizmu przed bakteriami i zamiast poprawy — spowoduje często wybuch choroby — np. grypy. Nawet reumatycy, którzy bezpośrednio po gorącej kąpeli czują się lepiej, nazajutrz jeszcze więcej cierpią

z powodu wzmoczonych dolegliwości.

Na luksus ciepłej kąpeli (do 36°) można sobie pozwolić tylko 2—3 razy w tygodniu, przedłużając ją do górnej granicy 15 minut i kończąc ją zawsze zimnym natryskiem. Dysponując natryskiem ciepłym i zimnym możemy korzystać w zasadzie z tych samych dobrodziejstw, które zapewnia wanna, bez ponoszenia ryzyka utonienia. Rano, w celu spędzenia resztek snu i orzeźwienia, stosujemy natrysk chłodny, jaki tylko możemy wytrzymać. Zimny natrysk wzmaga napięcie tkanek, pobudza krążenie krwi, a stosowany systematycznie — zapobiega wiotczeniu skóry. Przed zimnym natryskiem można się rozgrzać przez natarcie ciała szorstkim ręcznikiem lub przez wykonanie kilku ćwiczeń gimnastycznych. Ważne jest natomiast, by pomieszczenie, w którym natrysk bierzemy, było ciepłe. Można też po prostu zacząć od natrysku ciepłego (trwającego tyle, ile nam się podoba), a zakończyć — zimnym. Bezpośrednia reakcja na zimną wodę jest odwrotna, jak na gorącą. Jeżeli podczas natrysku odczuwamy zimno, a w parę chwil później odczuwamy już ciepło — oznacza to, że nasz organizm reaguje prawidłowo i nie grozi nam przeziębienie. Jeśli jednak uczucie zimna utrzymuje się również po skończonym natrysku to znak, że zimna woda nam nie służy i trzeba z niej po prostu zrezygnować.

Najlepiej myć się dokładnie wieczorem (oczywiście pod ciepłym natryskiem) nie tylko dlatego, że rano zwykle się śpieszymy. Wieczne mycie uwalnia skórę od nagromadzonego w niej w ciągu dnia brudu i kurzu i zapewnia lepsze oddychanie podczas snu.





Rozmowy z Czytelnikami

„Przeczytałam w Waszym tygodniku (zob. „Rodzina” nr 19 z dnia 8 maja br.) — pisze między innymi p. Józera z Jasła — odpowiedź Duszpasterza na list p. Stanisława z Gorzowa Wielkopolskiego... Dowiedziałam się z niej, że organizatorem Kościoła Polskokatolickiego był Franciszek Hodur. A gdy jego starania w Rzymie nie odniosły skutku, założył w Scranton pierwszą — niezależną od zwierzchnictwa papieża — parafię, która stała się zaczątkiem Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, a następnie i Kościoła Polskokatolickiego. Było to jawne odstępstwo od Kościoła Rzymskokatolickiego i od Ojca św. Twierdząc również, że chociaż nie macie z papieżem żadnego konfliktu, a przecież (jak wszystkie inne Kościoły chrześcijańskie) nie uznajecie go fundamentem i głową Kościoła Chrystusowego.

Chrystus bowiem — zwracając się do św. Piotra — powiedział wyraźnie: „Ty jesteś opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go” (Mt 16,18). Ze słów tych wynika, że Pan Jezus obrał tego Apostoła głową Kościoła Rzymskokatolickiego. Funkcję tę, jako jego następcę, sprawowali w ciągu wieków papieże. Obecnie zaś następcą św. Piotra i zwierzchnikiem Kościoła powszechnego jest Jan Paweł II. Z tej racji wszyscy chrześcijanie darzą go winni szacunkiem i być mu podporządkowanymi w sprawach wiary i moralności. Skoro zaś tego nie czynicie, jesteście w błędzie... Dlatego, kiedy obchodzimy obecnie jubileusz 150-lecia Odkupienia oraz 600-lecie obecności obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze w Częstochowie, powinniście wrócić do jedności z Kościołem...

Zastanawia mnie też, że w Waszym czasopiśmie powołujecie się często na listy apostoła Pawła. A przecież był on prześladowcą Kościoła Chrystusowego, chociaż później przyjęty został do grona apostoelskiego. Natomiast bardzo rzadko korzystacie z tekstów Ewangelii, chociaż ich autorzy (Mateusz, Marek, Łukasz i Jan) byli świadkami nauki i cudów Jezusa Chrystusa. Mam więc poważne wątpliwości, czy potraficie się z tego wytłumaczyć”.

Szanowna Czytelniczko! Widocznie niezbyt dokładnie przeczytała Pani odpowiedź dla Pana Stanisława z Gorzowa Wielkopolskiego. Bowiem czytamy w niej, co następuje: „Organizatorem Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego... był proboszcz polskiej parafii w górniczym mieście Scranton, ks. Franciszek Hodur. On to bowiem, widząc niebezpieczeństwo utraty wiary ojców i języka narodowego, oraz wyzysk materialny ze strony duchowieństwa irlandzkiego i niemieckiego (obsługującego rdzenie polskie parafie — przyp. Duszpasterza), starał się o zapewnienie polskim emigrantom duszpasterzy (biskupów i kapłanów) Polaków...” Czuję się też zobowiązany przypomnieć, że — jak się Pani wyraża — Franciszek Hodur nie był człowiekiem

świeckim, lecz księdzem. Następnie (w roku 1907) wołą Synodu PNKK wybrany został biskupem i 29 września tegoż roku, z rąk biskupów starokatolickich otrzymał w Utrechcie (Holandia) ważną sakrę biskupią. Będąc w Rzymie, nie domagał się niczego dla siebie.

Zwracając się do apostoła Piotra, powiedział Zbawiciel: „Założę Kościół mój” — a więc Kościół Chrystusowy, w skład którego wchodzi wszystkie Kościoły chrześcijańskie na świecie. Pismo św. nigdzie jednak nie wspomina, że jest nim wyłącznie Kościół Rzymskokatolicki. Warto tutaj zwrócić również uwagę na fakt, że Piotr nigdy nie powoływał się na specjalną władzę daną mu przez Chrystusa. Bowiem w pierwotnym Kościele apostołowie działali kolektywnie. Tak więc przed wyborem na miejsce Judasza, wszyscy apostołowie „wskazali dwóch: Józefa, zwanego Barasabą... i Macieja” (Dz. 1, 23). Niczo zaś dalej czytamy: „Gdy apostołowie w Jerozolimie usłyszeli, że Samaria przyjęła Słowo Boże, wysłali do nich Piotra i Jana” (Dz 8,14). Zaś delegacja z Azji Mniejszej przyjęta została nie przez samego Piotra (choć był wtedy obecny w Jerozolimie), lecz „przez Kościół oraz apostołów i starszych” (Dz 15,4). Wtedy też „postanowili apostołowie i starsi razem z całym Kościołem” (Dz 15,22). Również apostoł Paweł wyraźnie stwierdza: „Fundamentu innego nikt nie może założyć oprócz tego, który jest założony, a którym jest Jezus Chrystus” (1 Kor 3,11). W innym zaś liście dodaje: „On (Chrystus) jest Głową Ciała, Kościoła” (Kol 1,18a). Wynika z tego, że człowiek — bez względu na osobiste kwalifikacje — nie może być fundamentem i głową nadprzyrodzonej instytucji, jaką jest Kościół.

Natomiast papież — jak wskazuje na to historia — byli w ciągu wieków zwierzchnikami Kościoła Rzymskokatolickiego, nie zaś całego Kościoła powszechnego. Podobnie ma się rzecz z papieżem Janem Pawłem II. Wiadomo też, że dla zalet jego serca i umysłu, wszyscy chrześcijanie darzą go szacunkiem. Najwyższym jednak autorytetem w sprawach wiary i moralności jest dla nas Bóg, który dał ludziom swoje objawienie. Kościół Polskokatolicki — podobnie jak wszystkie Kościoły chrześcijańskie — dąży do zjednoczenia. W tym celu prowadzone są rozmowy międzykościelne, o to modlą się każdego roku wszyscy chrześcijanie w czasie Oktawy Modlitw o Jedność Chrześcijan.

Powołujemy się często na listy św. Pawła, gdyż są one funda-

mentalnym źródłem nauki o Kościele. Zresztą nie tylko my tak czynimy. Bowiem podczas spotkania z przedstawicielami Kościołów chrześcijańskich, jakie w dniu 17 czerwca br. odbyło się w Warszawie, papież Jan Paweł II powiedział: „Drogę naszą do was niech utworze sam Bóg. Ojciec nasz i Pan nasz Jezus! A Pan... niech spotęguje waszą wzajemną miłość dla wszystkich, jaką i my mamy dla was” (1 Tes 3,11—12). Te słowa modlitwy o wzajemną miłość — powiedział następnie papież — które apostoł Paweł napisał kiedyś do wspólnoty wierzących w Tesalonicach, dzisiaj kieruję do wszystkich Braci chrześcijan w mojej Ojczyźnie, z którymi łączę mnie ta sama apostołowska wiara w Jezusa Chrystusa”. A więc — jak to wynika z przytoczonego tekstu — papież także powołuje się często na słowa Apostoła Narodów.

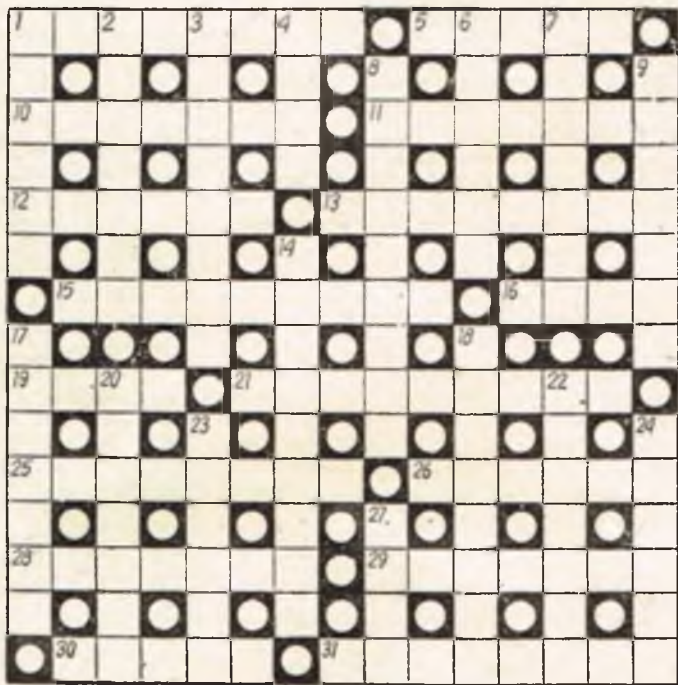
POZIOMO: 1) spór, zatarg, 5) skupisko mnichów, 10) dwużenstwo, 11) wysmutny pomnik, 12) mistrzowskie wykonanie dzieła sztuki, 13) krótka broń palna, 15) część mszy, 16) biblijny bratobójca, 19) zabieg płucny, 21) miasto nad Parsętą, 25) jedna z europejskich metropolii, 26) jedna z republik związkowych Jugosławii, 28) młode kadry, 29) członek palestry 30) zasob, rezerwa, 31) turysta wysokogórski.

PIONOWO: 1) rodzaj kurtki, 2) odwrotność zebra, 3) rodzaj nadwozia samochodu osobowego, 4) ambaras, 6) członek pozytywu, 8) rodzaj nadwozia samochodu osobowego, 7) opływowa ostona wystających części samolotu, 8) czerwcowe święto, 9) gliniasty instrument muzyczny, 14) tytułowy bohater poematu Słowackiego, 17) zebranie w ważnych sprawach klasztoru, 18) ceremonie pogrzebowe, 20) wśród budowlanych, 22) rzeka stanowiąca w starożytności północną granicę Italii, 23) broń szermiercza, 24) sienkiewiczowski zwycięzca, 27) arena zapasnicza.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 41”. Do rozlosowania:

nagrody książkowe
rozwiązanie krzyżówki nr 37
POZIOMO: redaktor, epoka, pawłacz, legenda, ranczo, kwadrans, akrobata, sake, rura, sterowiec, podnieta, gazeta, nowator, antrakt, odłam, monaster.
PIONOWO: raport, dzwonek, klasztor, oaza, pagoda, kantata, klawikord, majster, partytura, krępina, ćwiartka, rodowód, elegant, piątka, pastor, karo.
Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 35 nagrody wylosowali: Wacław Mikołajewski z Płocka i Stefan Pitrasik z Konina.
Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 41



rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorem: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zlecających indywidualnie i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny, — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Druk PZGRAF. Smolna 10/12. Nakład 25 000 egz. Z. 665. M-95.



krzyżeć — A ty chacie jakiś won stąd! won! — i wołają na gospodarza, by mię za drzwi wyrzucić kazał. O, laboga, laboga, opadli mię jak osy, więcem się bronił i jednego obuszkiem przez łeb ściągnąłem. Dopieroż krzyk. Sprowadzili swoich wojaków, zakuli mię, rakarze przekłęci, w łańcuszki, na ratusz zawiedli, szturchając ciągle i bijąc, i do ciemnicy wrzucili. O, laboga, laboga!

Wysłuchawszy tego, rotmistrz rzecze do mieszczan;

— Czegóż wy chcecie? Samiście zaczęli.

— Nie może to być — ozwie się burmistrz — by taki cham śmiał rajcom naszym na cześć nastawać. My żądamy kary.

— Małoście go sami ukarali?

— On winien śmierci.

— Już moja to rzecz, czego on winien. Hej, dragony, wziąć tego hultaja pod areszt! A mospanów żegnam, już późno jest.

— Więc jakże? — pyta burmistrz.

— A nic, jutro zobaczymy.

— My do króla pójdziemy.

— Przede wszystkim idźcie sobie do domu, ot, co jest. Dobranoc! I zawrócił się, i wszedł do drugiej komnaty, trzaskając drzwiami. Mieszczanie mrużąc i odgrządzając się głośno, zabrali się także i poszli.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jak orzeł wskazywał królowi drogę

Maćka, wziętego z wielkim hałasem pod areszt, po odejściu delegatów mieszczkańskich rotmistrz zaraz kazał uwolnić i oddać Piotrkowi, który go zabrał do siebie, do swej kwatery, będącej także na zamku. Tutaj biedny Maciek musiał siedzieć i nie pokazywać się wcale na mieście, bo mieszczanie nie przestali się odgrządzać i usiłovali skargę aż do króla jegomości wniesić, i gdyby byli Maćka gdzieś na mieście zdybali, byłiby go z pewnością schwytali i ubili może. Siedział więc, nie ruszając się z kwatery, i z rozpaczą spał po osiemnaście godzin na dobę, wymyślając na „łyków”, co się zmieści.

— Bój się Boga, Macius — mówił Piotrek — nie pokazuj się na ulicach i przyrzeknij mi, że już żadnych historii wyprawiać nie będziesz. Król jegomość, do którego mieszczanie trafili, gniewny jest, i najmniejsze z twej strony przestępstwo, to ci łeb uciąć każe, jak amen w pacierzu.

— O, laboga, laboga! — jęczał Maciek — już będę siedział jak trusia i pary z gęby nie przepuszczę, jakem Piast.

— Jeno ty tam o tym Piaście nie gadaj, bo to coś jest bałamutnego.

— Jak to bałamutnego? Co też panicz mówią? Zeby ta była nieprawda, toby o tym ani ks. Przyborowski, ani też pan Dyakowski nie gadał.

— No, no, już jeno siedź i nie ruszaj się, a że nie widzisz ani husarii, którą przyprowadził wczoraj pan hetman polny, Sieniawski, ani też innego wojska, które się ściga tutaj do Krakowa, to niech to będzie dla ciebie karą.

— O laboga, laboga, cóżem ja takiego uczynił?! Żem jednego łyzka obuszkiem trącił, to mi panicz nic widzieć nie dadzą. I przyszło już wojsko?

— I jakie jeszcze wojsko! Husarze z panem Sieniawskim to sześć mil jednego dnia zrobili, a powiadam ci, człek w człeka, koń w konia, a jak idą, to jeno skrzydła szumią, a ziemia drży. Chybaby Turczyn miał pomoc samego antychrysta, żeby się miał takiemu wojsku oprzeć.

— Pewnikiem, że się nie oprze.

— Dziś pan hetman wielki, Jabłonowski, przyprowadził też resztę wojska. A są tam i pancerni, i husarze, i dragoni cudzoziemskiego autoramentu, i piechota też kwarciana, i piechota wołoska, i harmaty, aż się w oczach śmiło, kiedy ci to rynkiem i Grodzką ulicą waliło. Aż dusza rośnie patrząc.

— O, laboga, laboga, i ja też tego nie widzę, żeby tych łyżków Turczyn za to pobił. A cóż, paniczu, słyhać o Turczynie? Listy jakie są?

— A jakże. Turczyn miny podkłada... Ale ty nie wiesz, co to są miny.

— A nie wiem.

— Otóż to, Turczyn kopie się pod ziemią jako kret i tak się podsuwa pod mury Wiednia, a gdy już dojdzie do samych owych murów, to prochy tam podkłada i zapala. Gdyby prochy wybuchły, toby mury się zwały i poganinowi łatwo by już było dostać się do miasta.

— To ci dopiero poganin! Ale Niemcy się nie dadzą?

— To nie, bo oni też kopią pod ziemią naprzeciw owych pogańskich kretowisk i przeszkadzają podkładaniu prochów. Naszych to tam już jest dużo u cesarza, jest pan Gliński, pan Butler, pan Grocholski, ks. Lubomirski ze swymi pułkami, i mężnie z Turczynem walczą.

— A kiedy my pójdziemy?

— Słysz. że pojutrze. Dziś rano to przyjechał sam nuncjusz od papieża.

— Od papieża? O, laboga, laboga, i cóż?

— Król jegomość siedział na tronie, a podle niego sześciu biskupów, wszyscy w infułach i kapach złocistych i panów też senatorów moc, i pan hetman polny, Sieniawski, w zbroi i lamparciej skórce. Wyglądał jak rycerz starodawny, co wstał z marmurowego grobowca, które po kościolach stoja. Tedy nuncjusz coś gadał, gadał długo, alem dobrze nie posłyszał, jeno potem padł na kolana, i wyciągając ręce do króla, zawołał: — Ratusz chrześcijaństwo! — Mnie się też łyzy zakręciły w oczach i już nie wiem, co było.

— Ano! — zawołał Maciek, ściskając pięście — niech ja tych rakarzy Turków schwyce w me ręce, to im kiszki powypruwam! Będę tłukł hycłow łbami o siebie, aż im potłukę jak stare garnki!

Takie nowiny znośli Biotrek Maćkowi, który wysłuchawszy ich i naobiecYWawszy Turczynowi straszne męki, kładł się spać i spał jak zabity. Aż wreszcie po parutygodniowym pobycie wyruszone z Krakowa dnia 14 sierpnia na Czernichów, Lipowiec, Mysłowice do Bytomia, gdzie już była ziemia cesarska.

Dnie były bardzo piękne i ciepłe, a kraje, przez które wojsko się posuwało, bogate i ludne. Niemcy wszędzie przygotowali mnóstwo żywności i co cztery mile stała zopa, pełna obroku dla koni, chleba ledwo nie prosto z pieca wyjętego, była, całe stada baranów, sterty siana, piwa beczek mnóstwo. Maciek też używał, co się zmieści, i w czasie tego pochodu tak się spał, jak nigdy, a do Adamczyka gadał:

— Już to ty, łyżku, widzisz, jak to dobrze jest ze szlachtą i Piastami służyć. Gdziebyś ty ta u twego rodzica, krawca w Warszawie, miał takie jedzenie jak tutaj.

— To pewno, panie — odpowiadał Adamczyk powolnie i niby skromnie, ale w gruncie rzeczy, jako to był chytry Warszawiak, dworował sobie z Maćka — to pewno panie — mówił — żebym go nie miał. Nas jest dwanaścioro rodzeństwa i bieda wielka. Ale i pan to chyba w chałupie w Rzece tego nie miał, bo kiedy pan był w Wilanowie, to pas zapinał się na szóstą dziurkę, a teraz ledwie na trzecią. Jać to widzę, że najlepiej ze szlachtą.

— A tak, tak — odpowiadał Maciek — sprawuj się dobrze, a ostatnie takim jak ja, Piastem.

A do Piotrka mówił:

— Prawdę rzekłszy, paniczu, to te Miemcy wcale godny jest naród. Jeść dają dobrze i porządek u nich, widzę, jest wielki. Kto by się spodziewał? U nas w Rzece gadali, że Miemieć a pies to jedno. Widzę, że to nieprawda. Wcale godny naród i uszanować też Piasta umieją. Wczoraj to mi się burmistrz do kolan kłaniał. Dobrze, dobrze, powiadam mu, ja o acpanu będę pamiętał i od Turczyna cię obronię. Wcale dorzecznym naród, a choć ta kuso chodza i gada nie po ludzku i ja sobie też podrywam z nich, chociaż oni tego nie rozumieją, ale zawsze godny naród, nie ma co.

Maszerowano wtedy właśnie przez ziemię Morawską od miasteczka Modrzyca do Nikolsburgu, i gdy Maciek tak gadał do Piotrka, nagle podniósłszy głowę, zawołał:

— O, laboga, paniczu, widzicie?!

— Co takiego?

— Patrzcie, patrzcie! — I wskazał ręką w górę.

Niedaleko od nich jechała wolno karoca królewska, a nad tą karocą nieustannie unosił się, krążąc, orzeł wielki. Więc Piotrek zdziwił się bardzo i mówił:

— To jest przepowiednia zwycięstwa, trzeba o tym królowi jegomości powiedzieć!

Spiął więc konia i dopadł karocy królewskiej. Król siedział w niej z królewiczem Jakubem i ks. Przyborowskim, jezuitą, swym spowiednikiem i drzemał sobie, bo dzień był gorący, a niebo jak łyza czyste. Na tętent zatrzymanego gwałtownie konia król się ocknął, wychylił głowę i zapytał:

— A co to?

— Miłościwy panie! — zawołał Piotrek — oto nad karocą waszej królewskiej mości ciągle wielki orzeł krąży.

— Nie może być! Pokaż no! — zawołał król i zaraz krzyknął na woźnicę — Stój!

Gdy karoca stanęła, król wyszedł na gościniec, a za nim królewicz i ks. Przyborowski, i wszyscy poczęli patrzeć na owego orła, który wolno i majestatycznie zataczał już nad głową królewską wielkie kręgi, a od jego skrzydeł cień posuwał się po ziemi. Zaraz też moc panów, rotmistrzów i pułkowników zbiegła się do króla i wszyscy a za nimi całe wojsko, zatrzymując się, przypatrywało się owemu orłowi. I zrobiła się dziwna i niebywała rzecz. Nagle ukazała się tęcza podobna do księżycy, jakby cień od siebie rzucająca. Zjawilo się mnóstwo ptaków, które krążąc kreśliły w locie, według niektórych litery, że „Jan zwyciężył pod Wiedniem”. Król nic nie mówił, słuchoł tego i patrzył nader poważny na owe widowisko, że ów pierwszy orzeł krążąc, zdawał się dosięgnąć księżycy. Na koniec zerwał się, a za nim wszystkie ptaki, i poleciał drogą ku Wiedniowi i całe zjawisko znikło.

— Cóż na to powiesz, ojczu? — spytał król ks. Przyborowskiego.

— Miłościwy panie, niezbadane są wyroki boskie. Wszelako pewne jest, że Bóg niekiedy wybranym mężom przyszłości rąbek odkrywa.

Król nic nie odrzekł, jeno po chwili zapytał:

— A gdzie jest ten, co tego orła najprzód obaczył?